Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Z okolic Manitoby — Kanada. Łosie - bliźniaki. Fot. udzielona do reprodukcji przez „Departament of the Interior", Ottawa i nadesłana przez p. M. G.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 27 (803) 20 WRZEŚNIA 1935 R.



U podnóża Gór Skalistych — Kanada. Łoś w kąpieli. Fot. udzielona do reprodukcji przez „Press Bureau Canadian Pacific Railway", Montreal i nadesłana przez p. M. G.

ŁOWIECTWO DZISIEJSZEJ DANJI.

W listopadowym numerze czasopisma „Wild und Hund" Nr. 47 z r. 1934 znalazłem ciekawy artykuł duńczyka, D-ra Harboe'go, traktujący o problemach łowieckich w Danji, który tu podaję w wolnem tłomaczeniu w przekonaniu, że zainteresuje on czytelników „Łowca Polskiego".

Dzięki charakterystycznej wystawie pod hasłem: „Polowanie i las", jaką urządzono niedawno w Kopenhadze, dał znać wreszcie o sobie duński myśliwy, tudzież zaakcentował wyraźnie swą wolę łowiecką i dążenia na przyszłość.

Zamierzenia jego idą zatem w tym przedewszystkiem kierunku, ażeby zniszczone zupełnie łowiectwo kraju odbudować, odrodzić i dojść możliwie szybko do dawniejszych zwierzostanów tak pod względem jakościowym, jak i ilościowym, tudzież stworzyć dla tych idei przychylny nastrój wśród najszerszych warstw tamtejszego par excellence chłopskiego społeczeństwa.

Wystawę zmontowały dwie organizacje: „Duński Związek Łowiecki", założony jeszcze w r. 1884 i „Związek Łowiecki Krajowy" z r. 1923, w którym zrzesza się dzisiaj 940 lokalnych towarzystw łowieckich i 27.000 czynnych członków.

Szeroką, gorliwą i skuteczną propagandę prawidłowego łowiectwa prowadzi w kraju doskonale redagowane czasopismo łowieckie: „Dansk Jagdtidende" w Kopenhadze. Oprócz niego szerzą ją usilnie liczni konsulenci łowieccy w powiatach. Wprowadzili oni ostatnio do programu swej pracy nawet filmy propagandowe. Częste zaś wystawy ruchome psów myśliwskich, jak również pokazy ich sprawności na terenie i różne inne imprezy, np. loterje — dokonują reszty. Istnieje więc od lat kilku loterja kuropatwia, której wygrane wypłaca się w naturze w postaci żywych kuropatw, bażantów i zajęcy, by w ten sposób stało się zadość celowemu wysadzaniu na teren żywej zwierzyny i szerzeniu zamiłowania do jej hodowli.

Z Duńskim Związkiem Łowieckim współdziała i pracuje harmonijnie t. zw. „Duńska Rada Łowiecka", ułatwiająca mu pożądany kontakt ze wszystkiemi władzami. Ona także subwencjonuje wszystkie czynniejsze stowarzyszenia lokalne, przyznając im wcale poważne kwoty. W r. 1934 wydała dla uregulowania ich budżetów 80.000 koron duńskich... Leży jej na sercu również zabepieczenie życia i starości zasłużonych strażników łowieckich.

W lipcu r. 1931 zniszczyły katastrofalne ulewy prawie cały stan bażanci w kraju. W północnym Szlezwiku zwłaszcza okazały się straty najbardziej dotkliwe. Z tego powodu zarządziły władze w tej części Danji trzyletni czas ochronny dla wszelkiej wogóle zwierzyny. Równocześnie wysadzono na teren około 2.000 pięciotygodniowych bażancików, zakupionych w sąsiednich Niemczech. Próba z ponownem zaludnieniem łowisk udała się znakomicie i miała jeszcze tę pożądaną korzyść, że poglądowo zaznajomiła z racjonalną hodowlą miejscową ludność wiejską.

Próby prowadzono dalej i wpuszczono w następnym roku w łowiska dalsze 4.000 kurcząt bażancich, ale już w zachodniej i północnej Jutlandji.

„Rada Łowiecka" rozdzieliła później między hodowców także wiele starych bażantów i zajęcy, np. w 1934 r.: 3.500 zajęcy i 8.000 bażantów. Zające sprowadziła tym razem ze Szwecji.

Szczególnie starannie pielęgnowane są w Danji ku-

ropatwy; ich stan zmniejszył się tam bowiem w ostatnich latach ogromnie. Próby aklimatyzacji kuropatw, sprowadzonych z Węgier i Czech, nie powiodły się. Dlatego „Rada Łowiecka" postanowiła sprowadzić z zagranicy tylko jaja. Zakupiono więc na Węgrzech 4.700 jaj. Niewiele jednak wyszło z nich młodych.



Rogacz, ubity 11.VIII b. r. przez p. Jana Dembińskiego Wysokość 27 cm., obwód róż 25 cm., rozstawienie 17 cm., waga parostków z czaszką 540 gr. „Foto-Arte".

I ta akcja zawiodła. Lepiej natomiast udały się próby z jajami, sprowadzonemi z odleglejszych okolic Danji i jej wysp, wylęganemi w specjalnych fermach. Doprowadziły one szczęśliwie do dobrej, ponownej regeneracji kuropatw duńskich. W roku bieżącym będzie do dyspozycji 3.000 jaj czystej duńskiej odmiany.

Na psychikę najszerszych warstw ludności duńskiej podziałały filmy propagandowe bardzo dodatnio. Na setkach wieców i zebrań nakręcano je gorliwie w obecności licznych myśliwych i laików. Wyjaśnień udzielali oczywiście fachowcy. Także i dla szkół wyprodukowano liczne filmy propagandowe, pouczające dzieci, że nie wolno psuć gniazd ptasich i niszczyć jaj, że można tylko z konieczności i z wielką ostrożnością rozniecać ogień po lasach, że nie wolno prześladować młodych ptaków i t. d.

Ci zaś z urzędników gminnych i policji, którzy przyczynili się szczególnie do podniesienia zwierzostanów, otrzymują nagrody pieniężne. Także i radjo duńskie pracuje skutecznie dla łowiectwa tamtejszego.

Zakładanie małych remiz w kraju płaskim i tak ubogim w lasy, jak Danja, uznano za sprawę pierwszorzędnego znaczenia. Toteż wszelkie nieużytki, jak kamieniołomy, wydmy piaszczyste i t. d. zasadza się dzisiaj pośpiesznie jałowcem, akacją, topinamburem, żarnowcem i słonecznikiem, aby drobna zwierzyna miała się gdzie chronić.

W ostatnich latach rozmnożyła się w Danji nadmiernie wiewiórka. Niszczy ona, jak wiadomo, zaciekle jaja ptasie i pisklęta, szkodzi także leśnym kulturom. Wyznaczono więc nagrody za ubijanie wiewiórek w wysokości jednej korony od sztuki.

Przed rokiem wypłacono z tego tytułu aż 31.327 koron!

Łowiectwo duńskie uregulowała ostatecznie nowa ustawa łowiecka z dnia 28 kwietnia 1931 r. Nowe to prawo doprowadziło bardzo szybko do rozwoju lokalnych stowarzyszeń łowieckich, jako że niemi szczególnie się opiekuje.

Obecnie tych 940 zrzeszeń myśliwskich rozwija swą działalność hodowlaną na obszarze 3.600.000 ha, co stanowi prawie połowę chłopskiego stanu posiadania i szerzy na nim coraz wyższą kulturę łowiecką tem łatwiej i wydatniej, że znajduje u uświadomionego i inteligentnego chłopa duńskiego pełne dla swych starań zrozumienie i poparcie.

WŁADYSŁAW GÜRTLER

RANKIEM.

Stojąc w oparach poranku mglistego,
W środku polany, dębczakiem zakryty,
Patrzyłem bystro wzrokiem myśliwego,
Trzymając w ręku mój sztucer nabity.
W tej czarnej lufie powstające zorze
Świeciły dziwnie odblaskiem matowym,
Jakby się dziwiąc, że o takiej porze
Człowiek, z piorunem do strzału gotowym,
Czeka na synów budzącej się kniei
I wypatruje na ścieżkach zroszonych
Pięknego kozła, co w ufnej nadziei
Szuka listeczków nocą odświeżonych.
Jam to zrozumiał, co mówiły zorze,
Lecz z dawiendawna, tak się ułożyło
I żadne serce na to nie pomoże,
Co się w naturze ludzkiej obudziło.

SZLAK.

Wieczór zapadał... Jeszcze złote blaski
Lśniły na fali sinego jeziora,
Cienie się kładły na pobrzeżne piaski,
Trzcinami leciał cichy głos kaczora.
Hen pod sklepieniem fioletowem nieba,
Ciągnęły długie dwa klucze żórawi.
Jesień — odlecieć dzisiaj już im trzeba,
A każdy srebrne pióra tu zostawi.
Tajemną myślą powietrznych żeglarzy
Pokierowane, instynktem przyrody,
Szybują w górze, a każdy z nich marzy,
Aby powrócić, skąd wyleciał młody.

Słupia, 1935.

ROMAN BYSZEWSKI.

POLOWANIE NA PUMY W ANDACH PERUWIAŃSKICH.

Jest to rzeczą bardzo rzadką mieć sposobność widzieć polowanie na pumę, czyli lwa amerykańskiego. Chociaż rozmieszczenie tego zwierza na lądzie amerykańskim jest nader rozległe, bo spotyka się go od porzecza Missisipi aż do okolic Cieśniny Magiellana, to jednak — jak to już spostrzegli dawniejsi podróżnicy — puma nie zamieszkuje stale jednego i tego samego miejsca, gdzie dokonywa wiele szkód, przenosząc się raczej w coraz nowe strony, aby bezkarnie módz dalej prowadzić krwiożerczą swą walkę, pustosząc zagrody wiejskie i napadając na zwierzęta domowe. Pozatem upolować pumę nie jest łatwo, gdyż zwierz ten dobrze ukrywa się podczas dnia, a tylko nocą zwykle dokonywa swych rabunków. Zdarza się wprawdzie, że dzienniki donoszą czasami o ukazaniu się pumy na jakimś folwarku, ale obecność jej tam trwa krótko i często znika, nim nadarzy się sposobność urządzenia na nią obławy.

Chociaż nie jestem myśliwym, bardzo chętnie przyjąłem zaproszenie jednego z moich przyjaciół, który miał zamiar wybrać się na wyprawę myśliwską w pobliże Limy, w okolicę dobrze mu znaną, a dostępną od czasu wybudowania nowej drogi, wiodącej z Limy do departamentu Junin przez pasmo Kordyljerów, znane pod nazwą „Kordyljery Wdowy" (La Cordillera de la Viuda), co czyniło taką wyprawę łatwą do urzeczywistnienia i wymagającą zaledwie kilku dni czasu.

Jako wielki miłośnik przyrody, miałem sposobność zaczerpnąć sił w orzeźwiającem powietrzu niebotycznych Andów, a zarazem doznać zupełnie niezwyczajnych przygód, które dodawały cechy wielkiej nowości i przynęty tego rodzaju wycieczce, zwłaszcza po tylu miesiącach, spędzonych w monotonnej atmosferze wielkiego miasta, pełnego kurzu i przesiąkniętego nieprzyjemną wonią przeludnionych ulic i cuchnących samochodów. Wspomnienia licznych podróży, które miałem szczęście odbyć do pięciu części świata, łączyły moją duszę niewidzialną nicią z niezmierzonemi widnokręgami wolnego przestworu, urozmaiconego otchłanią głębokich dolin, które wieńczyły niebotyczne postacie obnażonych skał andyjskich, przyprószonych gdzieniegdzie wieczystym śniegiem.

Nie dziw więc, że propozycja polowania została przezemnie skwapliwie przyjęta. Naturalnie z przytoczonych wyżej powodów nie mogliśmy mieć pewności, że upolujemy pumę, lub nawet że będziemy mogli odnaleźć jej trop. Włóczęgostwo tego drapieżnika za dobrze było nam znane i wiedzieliśmy, że choć często spotyka się na płaskowyżu, w okolicy Kordyljerów Wdowy, jego ślady, to jednak tylko szczęśliwy traf mógłby nam pozwolić zetknąć się z nim naocznie. W ostatnich czasach zjawienie się pumy nawet na samem pobrzeżu Peru, gdzie jej obecność była uważana za wyjątkową, było kilkakrotnie zauważone i wzmiankowane w dziennikach. Niedawno kuguar (puma) zrobił znaczne spustoszenia w posiadłości wiejskiej, tuż koło portowego miasta Pacasmayo, napadając na ludzi i zwierzęta domowe. Były więc pewne szanse napotkania tego zwierza, tembardziej, że wyprawa nasza składała się z ludzi doskonale z takiego rodzaju polowaniem obeznanych.

Pewnego pięknego poranku, gdy Lima spoczywała jeszcze uśpiona, wygodnie rozmieszczeni w dwuch potężnych samochodach, skierowaliśmy się ku dolinie rzeki Chillon. Minąwszy rozległe winnice oraz pola trzciny cukrowej, droga nasza poczęła się powoli wznosić. Im wyżej, tem powietrze było więcej przezroczyste, słońce świeciło jaśniej, a łagodny wiatr, spowodowany szybkością jazdy, przynosił nam zapachy z pól, zagajników i ziemi, posiadającej charakterystyczną i przyjemną woń.

Rzecz ciekawa, kto tyle podróżował, co ja, temu wspomnienia przygód i krajów zwiedzonych przychodzą na myśl, nietylko słysząc jakieś egzotyczne nazwy, lecz także oglądając pejzaże, podobne do widzianych gdzieindziej. Wspomnienia takie też powstają w wyobraźni mojej i wtedy, gdy jakiś zapach przypomina mi pewien epizod dawno odbytych podróży. Ilekroć poczułem woń pewnych kwiatów, które napotykałem w Peru, a które są pospolite w niektórych częściach Europy, przeważnie na Riwierze, w Hiszpanji, lub w Maroku, czy też w gorących dolinach Meksyku, natychmiast nasuwały mi one wspomnienia pobytu w tych krajach! A zapach niepalonej cegły, czyli „adobes", nagrzanej słońcem, nasuwał mi mimowoli czarujące porównania z domostwami arabskiemi oaz Sahary, doliny Nilu i szałasów indjan Zapoteków w Ameryce Środkowej. Nić ta łączyła mnie też z rodzinnemi stronami. Charakterystyczny zapach pędów młodej wierzbiny, którym tak się rozkoszowałem wiosną w kraju, w młodocianych moich latach, upajał mnie też i tutaj nad brzegami Chillonu, gdzie wierzby wprawdzie wiecznozielone, ale bardzo do naszych wiślanych zbliżone, tworzyły malownicze knieje, przez których opony świdrowały się jasnosrebrne promienie tutejszego słońca.



Widok osady San Agustin w Andach — Peru.

Około południa przystanęliśmy na śniadanie w małem miasteczku Canta, położonem już przeszło dwa tysiące metrów nad poziomem morza. Poniżej miasta udają się jeszcze, pomimo tak znacznego wzniesienia, drzewa owocowe, jak pomarańcze, figi, palty, czyli drzewa maślane, chyrymoje, soczyste oraz piękne brzoskwinie i truskawki, które w Peru nie mają jednak ani tego zapachu, ani smaku, co u nas. Pozostawiwszy to miasto za sobą, wkracza się już do innego klimatu. Jest się w Sierra, czyli w górach, gdzie dnie są wprawdzie jeszcze ciepłe, ale noce chłodne i ożywcze, a samo niebo nabiera innej barwy. Nie jest lazurowo-sinem, jak na Pobrzeżu, ale ciemno-szafirowem i podczas zachodu lub wschodu słońca przystraja się przepychem kolorów zupełnie obcym mieszkańcowi pasa nadmorskiego wybrzeża Peru.

Pejzaż za miasteczkiem Canta jest zgoła inny. Zamiast plantacji trzciny cukrowej i bawełny, roztaczają się tu pastwiska i pola kartofli oraz kukurydzy w dolinie rzeki, gdy wyżej położone suche stoki wzgórz porośnięte są krzakami kaktusów wszelkich możliwych gatunków i rodzajów. Obok wysokich świeczników Cereus, zwanych tu „cuy", widnieją na każdym kroku Opuntin czyli figi berberyjskie, chociaż owoce nie wszystkich rodzajów tych fig są jadalne, a wreszcie inne kaktusy, karłowate i kolczaste, jak Echinocactus i t. p. Pewne gatunki Cereus okryte były drobniutkiemi kwiatkami barwy fioletowo-różowej i mie-

niły się w blasku słonecznym żywym ogniem. Tuziemcy jedzą nietylko owoce, ale nawet kwiaty pewnych gatunków, jak naprzykład Cereus, chociaż spróbowane przezemnie okazy nie zadowolniły mojego smaku. Kwiat Cereus jest taki nikły, że nie może być ani pożywnym, ani orzeźwiającym, natomiast rany, jakie zadają kaktusy swemi kolcami, często są niebezpieczne. Przypominam sobie, że kilka lat temu ukłucie kolcem kaktusa spowodowało u mnie ropną ranę, zniewalającą do poddania się bolesnej operacji.

Na wzgórzach Canta, a więcej jeszcze na tych, które są położone w dolinie pobliskiej rzeki Rimac, rośnie pewna roślina Satropha czyli huanarpo z rodziny ostromleczów, której sok trujący, przenoszony przez czyli brodawką peruwiańską, na którą umarł niedawdzo niebezpieczną chorobę, zwaną gorączką Carriona, czyli brodawką peruwjańską, na którą umarł niedawno jeden z naszych ziomków, zajęty pracą w wysokich dolinach wyłącznie na zachodnim stoku Andów, gdy choroba ta jest zupełnie nieznaną w porzeczu Amazonki.



Upolowana „taruga".

Po kilku godzinach podróży samochodem dojechaliśmy do miejsca, gdzie czekały konie i muły, przygotowane dla naszej wyprawy staraniem właściciela pobliskiej posiadłości wiejskiej czyli haciendy. Nie tracąc więc czasu — rzecz w Peru naprawdę rzadka — udaliśmy się w dalszą drogę, wypytując się ludzi o szanse natrafienia na pumy.

Zapytani przez nas ludzie, objaśnili nas, że słyszeli o szkodach, które wyrządziła puma w pobliskiej wsi, radząc nam, abyśmy udali się na polowanie na wielkie jelenie andyjskie, zwane tarugami, za któremi zwykle dążą pumy, żądne ich krwi.

Gdy kroczymy naprzód wolnego stępa, z pod nóg naszych wyrywają się miejscowe kuropatwy. Ptaków tych nie spotyka się stadami, jak u nas, ale zwykle małemi grupami. Próbujemy szczęścia, celując z poza wielkich kaktusów i ubijamy kilka sztuk. Mięso ich jest nieco czerwone, ale smaczne i zresztą zupełnie przypomina nasze kuropatwy. Mój towarzysz pokazuje mi norę, wykopaną przez wiskacze, małe gryzonie, których futro, nie takie wprawdzie cenne, jak szynszylli, jest dziś jednak poszukiwanem. Pora już późna, jedziemy dalej naprzód bez postoju. Ścieżka, którą się posuwamy, biegnie coraz wyżej. Wysokie szczyty Andów, pokryte śniegiem, piętrzą się teraz przed nami i, dzięki złudzeniu optycznemu, wydają się zupełnie blisko.

W miarę, jak się wznosimy, oddychanie staje się coraz więcej utrudnione. Osoby nieprzyzwyczajone do takiej wysokości zwykle zapadają na cierpienie, dotąd jeszcze niewyjaśnione, znane pod nazwą „sorocze". Zdaje się, że przyczyną jego jest rozrzedzenie powietrza; dlaczego jednak występuje w Peru i Boliwji, na wysokościach znacznie niższych, niż gdzieindziej i dlaczego nie ulegają mu w tej samej mierze osoby, wznoszące się samolotami, tego dotąd nie udało się wytłomaczyć. Podobno jedną z przyczyn ma być natura gruntu i obecność wielkiej ilości miedzi w skałach andyjskich, która ma wpływać na przypadki „sorocze".

Zmęczeni, dostajemy się do wioski Huayopampa, przechodząc kilkakrotnie małą dolinę strumienia. Stąd do miejscowości San Agustin odległość wydaje się zupełnie niewielką, kwestją paru minut drogi. A jednak, gdy przyjdzie wspinać się bez końca, okrążając góry i wąwozy, niepodobna jej przebyć prędzej, jak w dwie godziny. Najmniejsze poślizgnięcie się konia spowodować mogłoby prawdziwą katastrofę bo jadący przed nami towarzysze stoczyliby się na nas i pociągnęliby wszystkich do przepaści, w której podczas pory deszczowej huczy potok górski, a która teraz w lipcu ukazuje tylko nagie głazy wyschłego prawie koryta.

Miejscowość San Agustin jest bardzo malowniczo położona. Zdaje się być gniazdem orłów, a raczej kondorów, umieszczonem na krawędzi głębokiego jaru. Nad domami wznosi się góra Mango, której szczyt daleki, przyprószony śniegiem, odbija od ciemnego widnokręgu nieba. Góra ta jest okrągła, prostopadle zawieszona nad okoliczną doliną.

Znużeni długą podróżą, nocujemy w San Agustin. Niema tu oczywiście mowy o żadnym hotelu, ani oberży. Rozmieszczamy się w chacie, zbudowanej z wyschniętego błota i kamieni, przykrytej dachem, w którym świszcze wiatr górski. Wieczór jest wspaniały. Na zachód widok roztacza się aż do oceanu, płonącego szybko gasnącą wieczorną zorzą. Białe chmury na niebie przez chwilę przystrajają się w szkarłat i purpurę, potem buchają z widnokręgu wysoko ku zenitowi fioletowe smugi światła zodjakalnego, barwiąc strome wierzchołki Andów we fiolety i karmazyn. Prędko barwy bledną i mdleją. Noc zapada szybko. Jeszcze na zachodzie tlą się złotawe blaski, gdy z przeciwnej strony wynurzają się z poza gór jedna po drugiej gwiazdy i zaczynają migotać tysiącem drobnych latarń na ciemnej, już prawie czarnej, szacie firmamentu.

Jednocześnie z mrokiem nastaje przejmujący chłód. Udajemy się na skromną wieczerzę i, dobywając wełnianych pledów i kołder, układamy się do snu na ziemi, bo łóżek do dyspozycji tu zupełnie niema.

Nazajutrz budzimy się z brzaskiem i kilku z nas wyrusza, kierując się wpierw na szczyt góry Mango. Około dziesiątej rano, ledwo dysząc, docieramy do celu. Aneroid wskazuje wzniesienie 5230 metrów — prawie o pół kilometra powyżej Mont Blanc. Piękność widoku stąd nie da się opisać. Dość powiedzieć, że obejmuje kilkaset kilometrów krajobrazu, ku północy i ku południowi. Niziny nadmorskie, o tej porze pokryte mgłą, nie są widzialne. Cały kraj wygląda, jak skamieniałe morze, którego olbrzymie bałwany tworzą głębokie wąwozy i pasma górskie. Szereg pojedyńczych wierzchołków, tulących ku sobie ciemne przepaście, nagie turnie, prostopadłe skały, ukazują się, jak na dłoni, dając wrażenie, że jesteśmy pasażerami jakiegoś samolotu, który unosi nas w przestrzeń niezmierzoną...

Jak zwierciadło lodowatego kryształu, świeci wspaniała ściana Cordillera de la Viuda, biała nie do poznania, kontrastując z szafirem niebios w kierunku południowo-wschodnim, gdy ku północy dostrzegamy potężny szczyt Huascaran, wznoszący się prawie aż do 7 tysięcy metrów, uważany przez niektórych geografów za najwyższy w całej Ameryce. Po niedawno odbytych jednak badaniach wiadomem już jest, że przewyższa go wulkan Aconkagua na granicy Chile

i Argentyny. W chwili, gdy wytężamy wzrok przez dalekowidz, aby dostrzedz kształty Huascaranu, towarzysz mój pokazuje mi olbrzymiego kondora, wznoszącego się znacznie wyżej, niż te niebotyczne pasma andyjskie. Śledzimy go przez jakiś czas, aż wzniesienie i odległość uniemożliwiają dalsze badanie jego lotu.

Nieco później, spuszczając się już ku dolinie, natrafiamy na pastucha owiec i lam, który powiada nam że w pobliżu jeziorka Llanaraman, położonego w tej okolicy, natrafił przed paru godzinami na wielkie stado jeleni „tarugas".

Zawracamy znowu do San Agustin, miejscowości, którą opuściliśmy przed chwilą. Tu czekała nas niespodzianka. Wybiega do nas młoda indjanka i, krzycząc i płacząc, przerywanym głosem opowiada, jak to ubiegłej nocy napadła na domostwo jej puma i, dając susa przez kamienny mur, dostała się do zagrody. Gdy indjanka posłyszała kwilenie świni, natychmiast otworzyła drzwi, niebaczna na niebezpieczeństwo, które jej groziło ze strony drapieżnego gościa. Na jej widok puma porwała wielką świnię, chwyciwszy ją swą straszną paszczą, przeskoczyła w szalonym pędzie przez mur, prawie dwa metry wysoki, uciekając ze swą zdobyczą. Pięć zagryzionych prosiąt leżało na ziemi brocząc krwią. Wszystkie miały wygryzione mózgi.

Bandyta ten — płakała kobieta — wszystko mi zniszczył — teraz panowie muszą mi go zabić.

Na zapytanie, czy puma była wielki okazem, kobieta rozpostarła obydwie ręce na krzyż, dając nam do poznania, że chodziło tu o nadzwyczaj potężnego samca. Niektórzy z nas uśmiechali się, przypatrując się tej scenie, mniemając, że, gdyby sprawdziły się słowa indjanki, to puma tutejsza byłaby zwierzęciem znacznie większych może rozmiarów, niż sam król świata zwierzęcego, lew afrykański.

Prowadzeni przez kobietę, poszliśmy obejrzeć zagrodę, w której rozegrała się ta cała tragedja. Na kamieniach, pokrytych nieznaczną ilością błota, dostrzedz można było w rzeczywistości ślady pozostawione przez nocnego napastnika. Były to ślady bardzo widoczne, wielkie i głęboko wryte w błoto w miejscu, gdzie gruba warstwa gliny na to pozwalała. Na widok ten twarz myśliwych stała się bardziej pochmurną; chodziło tu przecież o niebezpiecznego przeciwnika, którego w Peru obawiają się więcej, niż samego jaguara, najsilniejszego zwierzęcia Ameryki. Wszyscy otoczyli indjankę i zaręczali jej, że śmierć pumy będzie kwestją tylko krótkiego czasu. Jeden z myśliwych zbliżył się do niej i obiecał, że sam zabije pumę i skórę jej przyniesie na dowód.

(d. c. n.).

WITOLD SZYSZŁO.

WALKA Z KŁUSOWNICTWEM W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ PRZED WOJNĄ.

Zawsze i wszędzie kwestja kłusownictwa będzie aktualna. Ciągle walczymy z tą plagą, nie szczędząc sił i trudu. Kłusownik—to nasz wróg zaczajony, mordujący bez wyboru każdą sztukę natr fioną — czy to będzie jeleń kapitalny, czy to smolarz potężny z ostremi szablami, czy to łania z młodem, czy wreszcie głuszyca, lub cieciorka na gnieździe!

Wszyscy dobrze wiemy, jak wpływa kłusownictwo wraz z innemi czynnikami ujemnemi, cechującemi dobę obecną, na stan ilościowy i jakościowy naszej zwierzyny. Prócz szkody, wynikającej bezpośrednio z działalności kłusownika, wyrządza on myśliwemu jeszcze jedną — moralną. Szeroki ogół, mało obeznany z troskami i trudami myśliwego hodowcy, obciąża go grzechami kłusownika, powodującego zmniejszanie się zwierzostanu, a nie wiedząc o tem, iż od wielu, wielu lat właśnie myśliwi hodowcy przyczyniają się jedynie do podniesienia liczebności i jakości zwierzyny, lub przynajmniej do utrzymania jej na odpowiednim poziomie.

Walcząc z kłusownictwem dzisiaj, dobrze jest wiedzieć, jakiemi sposoby prowadzona była ta walka dawniej. Specjalnie ciekawem staje się to zagadnienie w odniesieniu do większych, dobrze zorganizowanych gospodarstw łowieckich, do jakich należała słynąca na cały świat swoją zwierzyną i polowaniami Puszcza Białowieska.

Walce z kłusownictwem w Puszczy Białowieskiej przed wojną poświęcam artykuł niniejszy. Zanim przystąpię do wyłożenia danych, jakie posiadam, zaznaczyć muszę, że wiadomości te są całkowicie zgodne z rzeczywistością i odzwierciadlają w zupełności stan, jaki w owe czasy w Puszczy panował. Wówczas Puszcza Białowieska wraz z Puszczą Świsłocką podzielona była na pięć jednostek administracyjnych, odpowiadających nadleśnictwom. W każdej z nich znajdował się łowczy, zaś całość stanowiła jeden objekt łowiecki, podporządkowany Zarządzającemu Polowaniami Cesarskiemi, toteż, używając niżej słowo „Puszcza", mam na myśli wymienioną całość.

Poczynając od roku 1894 — odkąd mam wyczerpujące dane — walka z kłusownictwem zorganizowana była nadzwyczaj sprawnie.

Przed opisywaniem sposobów tej walki wymienię, jakie rodzaje kłusownictwa w Puszczy występowały.



Z kniei w Węgrzynowicach. Rogacz anormalny, ubity przez p. S. Łoguckiego.

Szeroko uprawiane było kłusownictwo przez miejscowych chłopów, mieszkających po wsiach, położonych tuż przy granicy Puszczy, a także w jej środku. Chłopi ci posiadali liczne łąkowe enklawy śródleśne i pasali bydło w Puszczy; z tych więc powodów ciągle wałęsali się po niej, wyrządzając często dotkliwe szkody. Drugiem, niemniej groźnem zjawiskiem było uprawianie polowań przez właścicieli prywatnych na terenach, przylegających do Puszczy.

Właściciele tych majątków w myśl ustawodawstwa rosyjskiego mieli prawo polować na własnych obszarach na grubą zwierzynę, z wyjątkiem żubra. Niektó-

rzy z nich zachowywali się wobec zwierzyny poprawnie. Większość jednak nie przestrzegała zasad etyki łowieckiej. Wiadomem jest, że zwierzyna nie trzymała się wyłącznie Puszczy, lecz przekraczała jej granice, przechodząc na tereny prywatne i włościańskie. Okoliczność tę wykorzystywano tak przy urządzaniu polowań z naganką, napędzającą zwierzynę od strony Puszczy, jak i przy pojedyńczych wypadkach polowań na wychodnego.

Jedynie żubr, za zabicie którego groziła bardzo wysoka kara pieniężna lub więzienie, uchodził cało z tych tarapatów, chociaż zdarzało się, że i on ginął z ręki kłusownika.



Rogacz, ubity 9.VIII b. r. przez Macieja ks. Radziwiłła. Wysokość 27/29 cm., obwód róż 27 cm., rozstawienie 15.5 cm.; waga bez dolnej szczęki 450 gr.

Wrócę teraz do omawiania kłusownictwa, uprawianego przez chłopów. Jak zaznaczyłem poprzednio, mieli oni liczne enklawy w Puszczy, gdzie przebywali podczas sianokosów i pasali bydło na terenach państwowych. Całkowicie zabronić pasania nie było możności, ze względu na ubogą ludność, którą zakaz ten w dużej mierze pozbawiłby środków do życia. Wypas bydła został ograniczony do wyznaczanych przez administrację Puszczy oddziałów, położonych w pobliżu wiosek i osiedli. Oprócz tego wybór pastuchów, za czynności których odpowiadała cała gromada, był bardzo staranny i podlegali oni kontroli strażników leśnych i łowieckich. Do pomocy straży przydzielono 5 policjantów konnych, znajdujących się w dyspozycji administracji łowieckiej, którzy penetrowali wsie, przylegające do Puszczy i jej peryferja.

Następnym środkiem zaradczym był zakaz posiadania broni palnej przez włościańską ludność okoliczną w promieniu do 15 km.

Na sąsiednie pola uprawne zwierzyna licznie wychodziła i żerując wyrządzała dotkliwe szkody. Rzeczą zrozumiałą było wrogie w stosunku do niej zachowanie się włościan, którzy korzystali z każdej sposobności ubicia znajdującej się na ich gruntach sztuki. Aby zapobiedz temu, wszystkim wsiom administracja Puszczy wydała bezpłatnie drewno, zobowiązując ich mieszkańców do ogrodzenia pól na własny koszt. Jednak nie wszyscy sumiennie wykonali to zobowiązanie; mianowicie pewna liczba włościan, grodząc swe pola, celowo pozostawiła zamaskowane łazy — czyli wąskie przerwy w ogrodzeniu, przy otworzeniu których zwierzyna swobodnie się przedostawała i w dalszym ciągu żerowała na polach.

W związku z tem zaczęła się nowa faza kłusownictwa, upozorowanego ochroną plonów.

Kiedy zwierzyna przyzwyczaiła się wychodzić na pola przez łazy, wtedy włościanie w umówionym czasie po północy urządzali naganke z psami, pędząc pożądany łup w kierunku Puszczy.

Zrozumiałe jest, że zwierzyna wtedy uciekała do lasu temi drogami, jakiemi przyszła i podążała do łazów. Przy łazach czatowało zawczasu kilku ludzi uzbrojonych w lance, wyrabiane przez miejscowych kowali. Lance te składały się z grubego — długości do 3 metrów — drąga z okuciem obręczowem na końcu i ostrza żelaznego, pokaźnej długości, w ten koniec wbitego. W czasie przemykania się zwierzyny zaczajeni chłopi przebijali lancami wszystko, co się trafiło. Najczęściej padały ofiarą dziki. Bardzo często dla udogodnienia łowów czatujący wykopywali przy łazach doły, do których zwierzyna wpadała i stawała się łupem zawziętych kłusowników. Dla zachowania pozorów i dla usprawiedliwienia swoich niecnych czynów włościanie zwykle pozostawiali w dołach, lub wprost przy łazach, jedną z ubitych sztuk — przebitą lancą. W tych wypadkach kara nakładana przez sąd była znacznie niższa, niż przy użyciu broni palnej. Posiadania broni zimnej, do jakiej należy zaliczyć oręż opisany wyżej, ustawodawstwo nie zabraniało. Pozostawiona sztuka była przytem dowodem, że właściciele pól działali w obronie swego mienia. W celu zlikwidowania tego stanu rzeczy wynajęto specjalnych dozorców nocnych, płatnych przez administrację Puszczy w ciągu całego okresu wegetacyjnego, którzy płoszyli zwierzynę na skrajach lasu, nie dopuszczając jej do pól włościańskich. Jednocześnie uniemożliwiali oni chłopom wykonanie jakichkolwiek nowych forteli, mających na celu zwabianie i łowienie łakomych mieszkańców Puszczy. Sposób ten poskutkował i straty w zwierzynie, chociaż nie znikły zupełnie, zmniejszyły się bardzo znacznie.

Tak więc przedstawiają się poszczególne fazy walki z kłusownictwem jawnem i zamaskowanem w odniesieniu do ludności włościańskiej. Dodać jeszcze można, że w związku z tą kwestją rząd rosyjski dążył do przesiedlenia mieszkańców wsi wśródpuszczańskich na Wołyń. Jednak wojna światowa przeszkodziła przeprowadzeniu tej akcji w zamierzonym zakresie.

Przystąpię teraz do opisu walki ze wspomnianymi wyżej właścicielami większych majątków, sąsiadujących z Puszczą, którzy popełniali niejednokrotnie grzechy kłusownictwa.

Wiadomem jest, iż z natury rzeczy, zwierzyna przechodziła z Puszczy na tereny prywatne i nie było możności udowodnienia, że ubita sztuka jest pochodzenia puszczańskiego. Właściciele prywatni korzystali z tego w całej pełni i uprawiali łowy z naganką, o których już wspominałem. Koniecznem się stało wynalezienie sposobu, pozwalającego zatrzymać zwierzynę w obrębie Puszczy i jednocześnie umożliwiającego przedostawanie się jej do lasów puszczańskich z terenów prywatnych. Jedno z najgroźniejszych takich miejsc znajdowało się na wschodzie Puszczy, koło Chwojnika.

Wobec tego, poczynając od uroczyska Chwojnik, wzdłuż granicy w kierunku północno-wschodnim wybudowano drogę, biegnącą po terenie puszczańskim. Ponieważ droga zaprojektowana była przeważnie przez bagniska, przeto utworzono groblę. Następnie od strony Puszczy na samym brzegu drogi pobudowano niewysoki płot żerdziowy. Po bokach grobla zaopatrzona była w rowy. Całość urządzenia skonstruowano w taki sposób, iż uniemożliwiało ono wydostawanie się zwierzyny z Puszczy. Co pewną odległość płot zbaczał od drogi wgłąb lasu, tworząc coś w rodzaju ostro zakończonego worka. W pobliżu zetknięcia się płotów, zbiegających się opodal drogi — w lesie — urządzono nasyp o łagodnem nachyleniu, kończący się sztucznem urwiskiem. Urwisko to — zeskok (Einsprung) w celu zabezpieczenia ziemi przed obsuwaniem było umocowywane cienkiemi klockami.

Pod zeskokiem powierzchnię starannie oczyszczano w celu kontroli ilości i rodzaju zwierzyny, korzystającej z niego podczas przedostawania się do Puszczy.

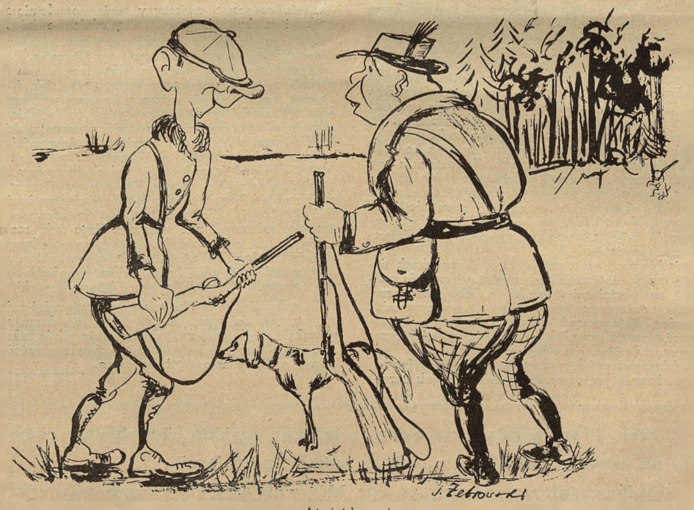
Ścisła obserwacja śladów wykazała, że dużo osobników wchodziło tą drogą, zaś wypadków odwrotnych nie było. Zdarzało się bardzo często, że pewne jednostki przeskakiwały wprost przez płot przydrożny, inne zaś podążały wzdłuż płotu i beztrwożnie przechodziły przez ze koki. Wypada tu nadmienić, że wśród każdego rodzaju zwierzyny występowały wyżej opisane zjawiska. A więc ideą przewodnią tego urządzenia było wykorzystanie znajomości psychologji zwierząt, dla których płot, widziany z drogi, wydawał się jakimś nowym pomysłem człowieka, czyhającego na ich życie. Zwierzę, widząc nieogrodzony pozornie las, niezwłocznie wkraczało do niego i następnie, zoczywszy zbiegające się płoty po obu stronach, korzystało z jedynego swobodnego przejścia — zeskoku! Płoty przydrożne i zeskoki miały doniosłe znaczenie dla ochrony łosia, który bardzo chętnie przebywał na bagnistych terenach prywatnych, gdzie ciągle czatowała nań śmierć w osobie przebiegłych kłusowników. Ogólnie biorąc rezultaty powyższego urządzenia były wspaniałe i polowania, uprawiane nadal przez miłych sąsiadów, nie przynosiły Puszczy tak wielkich strat w zwierzynie. Płot ochronny przy Chwojniku był początkiem zakrojonego na szeroką skalę ogrodzenia całej Puszczy. Ogrodzenie to miało ścinać jedynie wygięcia granic, nadając całości regularniejszy kształt. Cała Puszcza przemieniłaby się w olbrzymi zwierzyniec, a zwierzyniec właściwy, zajmujący wtedy już tylko 3 oddziały (dawniej 9 o pow. około 900 ha), byłby skasowany. Ogrodzenie Puszczy, prócz zatrzymania w jej obrębie zwierzyny, miało na celu wykorzystanie ustawy, na podstawie której nietylko za kłusownictwo, lecz nawet za wałęsanie się po terenie ogrodzonym, wymierzano karę znacznie surowszą od zwykłej.

Urzeczywistnieniu tych zamiarów przeszkodziła wojna.

Dzięki tym wszystkim staraniom i zabiegom, kłusownictwo w Puszczy powoli znikało i przestawało być groźną plagą dla pieczołowicie hodowanej w niej zwierzyny. Ponowny rozkwit kłusownictwa datuje się od czasów wielkiej wojny, kiedy Puszcza stała się łupem najeźdźców, a no nich rozzuchwalonej dzięki bezkarności miejscowej ludności.

INŻ. WŁODZIMIERZ LINDEMAN.

HUMOR MYŚLIWSKI.



— Aż pięć kuropatw...
— Zabiłeś?!
— Nie — widziałem

PÓLKA KARMOWE, CZY PODKARMIANIE?

W N-rze 12 „Łowca Polskiego" z r. b. ukazał się pod tym tytułem artykuł pióra p. St. Russela, w N-rze 13 zaś odpowiedź Redaktora W. Garczyńskiego. Obydwaj traktują o arcypoważnej kwestji, bo o umożliwieniu naszym zwierzostanom przetrwania krytycznego zimowego okresu.

Zagadnienie to, szczególnie przy naszych atmosferyczno - klimatycznych warunkach, ma pierwszorzędne dla hodowli znaczenie. Idąc na zew apelu p. red. Garczyńskiego do „podzielenia się poczynionemi doświadczeniami", pozwalam sobie również zabrać w tej sprawie głos, ponieważ istotnie „polemika na ten temat, może przynieść tylko korzyść łowiectwu", jak to słusznie powyższemi słowy kończy swój artykuł p. St. Russel.



Pan Wiceminister Rolnictwa Roger hr. Raczyński asystuje przy karmieniu bażantów w dobrach dębiockich.

Kilkodziesięcioletnia praktyka w tej dziedzinie pozwala mi mieć ustaloną eksperymentalną opinję.

Nawiązując do obu głęboko fachowych prac Szanownych Autorów, mogę tylko skonstatować, właściwie mówiąc, prawie że wzajemnie dopełniającą się jednolitość ich poglądów. Różnica zachodzi w pewnem różniczkowaniu sentymentu do tej czy innej metody. Red. Garczyński skłonny jest do przyznania większej samowystarczalności naszym zwierzostanom, p. St. Russel kołacze o bezwzględną opiekę nad niemi.

Jak zawsze, sądzę, że prawda i życiowa konieczność leżą w obu tych postulatach. Zastosowanie wyłączne jednego, lub drugiego systemu, sądzę, że mogłoby wywołać ujemne wyniki. Zresztą od nadmiaru przybytku nigdy głowa nie zaboli i nawet, jeśli będziemy *„plus catolique que le Pape"* niewiele zgrzeszymy. W każdym razie zwierzyna za opiekę wdzięczną nam pozostanie.

Jeżeli nawet w atmosferycznych warunkach naszych dostęp do ozimin jest zawsze wolny, nie podlegają one pleśni ani gołoledzi, to jednak cóż przeszkodzi stosowanie bronowania i rozkopywania? U mnie w Kijowszczyźnie było to niezbedne. Zresztą my też mamy Kresy: Wołyń, Polesie, Wileńszczyznę — o zupełnie identycznych warunkach.

Najsłuszniejsze jest wskazanie na asekuracyjne rośliny i krzewy przy zawalnych śniegach, jak żarnowiec, akacja, osika, łubin wieczny. Niejedna już sztuka została przez nie uratowana. Wzmianka o gotowej paszy, szkodzącej zwierzynie, świętą jest prawdą. Szkodzi i to jak jeszcze, gdy się tę paszę do suchej tylko ogranicza. Dlatego też w moich Wierzchowieńskich łowiskach nigdy nie posługiwałem się tą jedną kategorją. Obok paśników z sianem, grochowinami i koniczyną zawsze rozwożono paszę świeżą, starannie ją codzień ze śniegu odgarniając, a niedojedzone zmrożone buraki, marchew, kartofle, liście kapuściane zmieniając na świeże.

Przy takiem podkarmianiu nigdy nie zauważyłem sztuk chorych. Żmudne to zabiegi, nieco kosztowne, ale mówimy przecież o ideałach, a nie o paljatywach hodowlanych.

W koncetracji zwierzyny nie widzę nic złego, bo ułatwienie kłusownikom ich karygodnego zadania ułatwia też bardzo i obserwowanie tych bandytów przez straż łowiecką. Więc cały *facies* tej sprawy nie jest najgorszy.

Nie widzę powodu, dlaczego podawanie karmy nie miałoby być skutecznym środkiem na zatrzymywanie zwierzyny w rewirze, jeśli przytem mamy jeszcze szereg pólek i obsiewów, co, twierdzę zawsze, powinno iść w parze, jedno uzupełniając drugie.

I słusznie twierdzi autor artykułu z N-ru 12 „Łowca Polskiego", że, chcąc zatrzymać zwierzynę w łowisku, należy ją zaraz po pierwszym śniegu podkarmiać. Ja szedłem dalej, gdyż już z jesieni, przy czarnej stopie, gajowi moi rozwozili i rozkładali paszę suchą i świeżą.

Zwierzyna kapryśna jest, jak *une jolie femme*, która nawet do wdzięków Apollina przywyknąć musi. Późniejsze zakładanie paszy, częstokroć „musztardą po obiedzie" będzie z tej prostej przyczyny, że już „kotleta" w postaci zwierzyny może kompletnie zabraknąć na skutek imigracji do sąsiednich rewirów.

Nie wiem, czy ojcostwo idei karmienia zwierzyny gotową paszą pochodzi wyłącznie od Niemców. Więcej, niż pół setki lat temu, już słyszałem o tem od starych myśliwych dawnego autoramentu, jak ś. p. Antoni Zapolski i inni; w lasach Sanguszków, Branickich, Potockich już rozwożono paszę ku wielkiemu zdumieniu ówczesnych „diad'ków", a nawet niektórych z „panów". „Koniec świata mój dobrodzieju... sarnów i zajęcy karmią". A ci panowie słyszeli o tem także, młodymi jeszcze będąc, więc przenosimy się o jakie dobre stulecie wstecz. Chociaż uważałem zawsze i uważam Niemców za mistrzów łowiectwa i sztuki hodowlanej. Najlepszym tego jest dowodem przytaczana przez p. red. Garczyńskiego ich samokrytyka. Jest to ostatnie słowo liczenia się z własnem doświadczeniem. Na tej też zasadzie, pozwoliłem sobie narzucić tych zdań i myśli kilka, bynajmniej nie dla czczego wałkowania sprawy i jałowej krytyki.

Bo żeby mieć potrawkę z zająca, trzeba mieć zająca, bez tego ani rusz. A żeby mieć tego skromnego szaraka i wiele innej zwierzyny, należy pilnie zakładać pólka karmowe — równolegle zawsze z metodycznem podkarmianiem gotową paszą.

ADAM RZEWUSKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na czwarty kwartał b. r., lub na miesiąc październik.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

UWAGI O METODACH DOBORU W HODOWLI PSÓW.

Artykuł p. t.: „Myśli hodowcy psów" pióra pana W. Marra, który pojawił się w lecie ubiegłego roku na łamach „Łowca Polskiego", niewątpliwie był przedmiotem dokładnych studjów ze strony naszych hodowców, już choćby dlatego, że uwagi Autora, znakomitego znawcy psów i hodowcy pointerów o światowej sławie, nosić muszą w dużej mierze charakter uwag wręcz autorytatywnych.

Autoratywnych w tym większym stopniu, iż Szanowny Autor żywem swem zainteresowaniem w rozwoju naszej kynologji łowieckiej nie szczędzi trudu częstego osobistego udziału w charakterze sędziego w naszych próbach polowych, oraz wspiera naszych hodowców materjałem hodowlanym, a także radami i wskazówkami, zaczerpniętemi z bogatego i wszechstronnego własnego doświadczenia.

Toteż we wspomnianym artykule spotykamy cały szereg bardzo trafnych i głębokich uwag i myśli.

Mnie osobiście naprzykład niezwykle trafnem zdaje się ostrzeżenie p. Marra przeciwko ślepej wierze w rodowód sam jako taki, li tylko dla rodowodu, i w dobieraniu na reproduktora psa czy suki, bez żadnych wybitnych zalet, lecz dlatego jedynie, że dany okaz jest właśnie bratem, kuzynem czy potomkiem jakiegoś bardzo wybitnego osobnika.

Osobiście poszedłbym nawet dalej, — twierdze bowiem, iż taki osobnik jest szczególnie niebezpieczny właśnie ze względu na swe pochodzenie. Zjawiska dziedziczności bowiem polegają na autonomji poszczególnych zawiązków dziedzicznych, wysortywujących się na poszczególne osobniki jakiejś pary rodziców niezależnie od siebie. Na tem właśnie polega istota t. zw. praw Mendla, podstawy dzisiejszej nauki o dziedziczności. Ponieważ zaś z ostatnich prac wiemy, iż u wyżłów polowych szybkość, wiatr, stójka ma charakter dominujący, przeto osobniki pozbawione tych cech, względnie okazujące je w słabym tylko stopniu, będą najprawdopodobniej „homozygotycznemi recesywami", które przekazywać będą swoje ujemne cechy, i to bodaj tem wierniej, im papierowo „lepsze" było ich pochodzenie. Typowy górny wiatr i sekundowanie mają raczej recesywny charakter, tu więc są możliwości, że nawet oboje rodzice o słabych pod tym względem zaletach mogą dać część potomstwa bardziej wartościowego od siebie. To są wszystko sprawy konsekwentnie wypływające ze zdobyczy genetyki współczesnej, której znaczenie Szanowny Autor w całej pełni docenia, zaznaczając znowu zupełnie słusznie, że nie są to jednak rzeczy do bezpośredniego stosowania w praktyce.

Tak znowu jest z dwu powodów. Jeden to fakt, iż poza dziedziczeniem barw, typu włosa, szeregu cech budowy i kilku zaledwie właściwości zachowania się (cech psychicznych), zbyt mało jeszcze wiemy o genetyce psa domowego.

Druga przyczyna to fakt, iż badania genetyczne są procesem analitycznym, w którym przy pomocy odpowiednich krzyżówek rozbieramy niejako materjał zarodowy na części składowe, które w oderwaniu od innych pragniemy badać. Hodowla zaś jest syntetycznym procesem, w którym chodzi o stworzenie całokształtu sharmonizowanych cech, dających grupę zwierząt, odznaczających się pożądanemi własnościami i o ile możności wiernie je dziedziczącemi.

Niemniej ogólne metodyczne wskazówki, jakie wynikają z rezultatów współczesnych badań genetycznych mają niewątpliwie powszechne znaczenie i dają się zastosować do wszelkich gatunków zwierząt domowych.

I tu dochodzimy do punktu, gdzie w ujęciach swych do pewnego stopnia różnimy się z p. W. Marrem tak, że sądzę, iż sprawę należałoby w pewnej mierze przedyskutować.

P. Marr jest zwolennikiem chowu według prądów czy linij krwi „linebreeding", będąc w zasadzie zdecydowanym przeciwnikiem chowu krewniaczego.

W istocie też prowadzenie hodowli w ten sposób, iż łączymy indywidua, mające jakiegoś wspólnego wybitnego przodka (dziada, pradziada etc.), stanowi niewątpliwy postęp w stosunku do łączenia choćby nawet „dobrych" rozpłodników, należących tylko do „tej samej rasy", ale obcych sobie pochodzeniem i typem.



Pointer, aportujący kaczkę. Fot. M. Siudzik

Metoda ta jest ogólnie przyjęta w hodowli koni pełnej krwi, a hr. Lehndorff jest znany z pewnych studjów nad t. zw. „ilością wolnych pokoleń", które wprowadza się po to, by, korzystając z dobrych stron chowu w obrębie linij krwi, „uniknąć złych jego skutków". Cyfrowo w następujący sposób przedstawia Lehndorff wyniki swoich czysto rachunkowych rozważań, w których starał się uszeregować według „ilości wolnych pokoleń" najbardziej wybitne na torze i w stadzie ogiery:

Ilość wolnych pokoleń: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8. Ilość znakomitych ogierów: 12, 24, 52, 73, 62, 35, 13, 1.

Z zestawienia tego wynikałoby na pierwszy rzut oka, iż najlepsze wyniki daje hodowla w czterech wolnych pokoleniach t. j. taka gdzie po czterech dopiero pokoleniach pojawiają się wspólni przodkowie danego osobnika. Bliższy chów krewniaczy (1 lub 2 pokolenia wolne) daje rezultaty gorsze, podobnie jak i łączenie zbyt odległych pochodzeniem osobników *). Trzeba jednakże, jak stwierdza C. Weinberg (Traberjubiläum 1928) uwzględnić fakt, iż hodowcy prak-

*) W zasadzie dość prymitywny sposób obliczania wolnych pokoleń według Lehndorffa polega na dodawaniu tak ze strony ojca, jak i matki, tej ilości pokoleń, w których nie pojawia się wspólny, powtarzający się w rodowodzie przodek.

W tem oświetleniu pointer „Splendor Bey" ma jedno wolne pokolenie — co wynika z rodowodu:

Splendor-Bey	Blackfield Drop	Blackfield Banner	York de Rifhel Blackfield Nice
		Blackfield Perfection	Kagleholme Sam Blackfield Fate
	Bolmill Prima	Skogis Pampas Blackfield Fate	

Matka Beya ma 0, wolnych pokoleń, gdyż już jej matka występuje dwukrotnie w przedstawionej części rodowodu, ojciec zaś jedno, gdyż w drugiem znowu występuje Blackfield Fate. 0 + 1 = 1. Zatem ilość wolnych pokoleń wynosi 1. (Przyp. aut.).

tycy stale postępowali według pewnych recept i ogólnych prawideł, unikając stale chowu krewniaczego, tak, że ilość koni z jednem tylko czy dwoma wolnemi pokoleniami jest znikomo mała, podobnie jak z drugiej strony osobników z ośmiu wolnemi pokoleniami. Według zdania cytowanego autora, studjując dane Lehndorffa z uwzględnieniem faktycznego stanu rzeczy, możemy być wprost zaskoczeni dużą stosunkowo ilością koni wybitnych z jednem czy dwu tylko wolnemi pokoleniami. Autor, jako znany hodowca koni pełnej krwi, prowadząc ścisłe „inbredy" na fenomenalną klacz „Festę", wyprodukował znakomite konie torowe, jak „Faro", „Aurelius" i wiele innych, między innemi także i niewątpliwie czołowe nasze państwowe reproduktory, jak „Bafur" i „Reinwein".

Autor stwierdza dalej, że tylko stosowanie ścisłego chowu krewniaczego, który trzeba w danym przypadku uważać wprost za „inbreeding", pozwoliło stadu braci Weinbergów wyprodukować nietylko pojedyncze wybitne osobniki, ale i całą hodowlę wznieść na nieosiągnięty przez inne stada przeciętny wysoki poziom.



Pan Wiceminister Roger hr. Raczyński z ubitemi przez siebie rogaczami na podjeździe w lasach dębickich.

W Ameryce znane jest wybitne stado zimnokrwistych koni belgijskich, hodowli p. Gooda w Ogden st. Jowa, które pochodzi od jednego ogiera „Farceur" i jest przez szereg lat prowadzone w ten sposób, iż dwaj synowie tego rozpłodnika „Farceur Supreme" i „Oakdale Farceur" pokrywają nawzajem swoje córki. Ta metoda trwa już około 20 lat bez jakichkolwiek skutków ujemnych.

W czysto genetycznej literaturze znane są, by przytoczyć bardziej drastyczny przykład, słynne szczury z Instytutu w Wistar, obecnie już od 75 pokoleń hodowane metodą ciągłego łączenia całkowitego rodzeństwa.

I jest też rzeczą powszechnie znaną, iż w ciągu pierwszych pokoleń tego eksperymentu zaznaczała się w hodowli tej niepłodność, pewne kalectwa i t. d. Jednakże dzięki prowadzeniu doświadczenia na bardzo szeroką skalę cyfrową, otrzymano w dalszym ciągu doświadczenia nietylko wybitną poprawę płodności i rozwoju tych zwierząt, lecz nawet i poprawę wzrostu, tak, że największy szczur, jaki kiedykolwiek istniał, był produktem 59-ego pokolenia wręcz kazirodczego chowu.

O ile chodzi o większe gospodarcze zwierzęta, można jeszcze dodać, iż nawet trzoda chlewna przy ostrej selekcji wszystkich pojawiających się osobników o ujemnych cechach znosi — wbrew powszechnemu mniemaniu — skutki chowu kazirodczego zupełnie dobrze, jak to wykazał na Berkshirach E. E. Hughes w 1933 roku, a na białej dużej świni angielskiej w tymże samym czasie J. Jakóbiec i podpisany.

Należy zatem zapytać, czy w hodowli psów sytuacja jest odmienna, skoro widome są wszystkim niepowodzenia hodowli seterów Laveracka oraz anomalje w hodowli pointerów d-ra Soltera, o których wspomina p. Marr?

Oczywiście nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż sytuacja jest zasadniczo ta sama u wszystkich zwierząt ssących. Niepowodzenia Laveracka, niewątpliwie polegają na wadliwej metodzie hodowli, nieumiejętności odrzucania od dalszej hodowli osobników bądź to nieodpowiednich z punktu widzenia zdolności polowych, bądź też dających potomstwo z tego czy innego punktu widzenia nienormalne. Widzimy tu ślepe zapatrzenie w rodowód, w wartość produktów własnej hodowli, co idzie w parze z pozostawieniem do chowu osobników słabych użytkowo, lub z pewnemi wyraźnemi błędami w budowie, czy rozwoju poszczególnych organów, w imię właśnie pochodzenia od wybitnych, wartościowych przodków.

W istocie rzeczy jednak trzeba uważać, iż każdy osobnik słabszy, czy mniej wartościowy, jest tem niebezpieczniejszy w hodowli, im więcej posiada „zamknięty" rodowód, t. j. im bardziej jest produktem chowu krewniaczego, gdyż jako taki naogół wierniej dziedziczy swoje właściwości.

Podobna sytuacja istniała niewątpliwie w przypadku pointerów d-ra Soltera. Szczenięta „bez oczu", a raczej z wrośniętemi powiekami, powodującemi częstokroć silne stany zapalne oka, kończące się nieraz zupełną ślepotą, są obarczone odnośnym „półletalnym" genem, który istnieć może ukryty i niedostrzegany w szeregu rodów pointerów i seterów, tak, że sporadyczne jego ujawnienie się będzie uważane za przypadek, niemający nic wspólnego ze sprawą dziedziczenia. Gdy zaczniemy łączyć osobniki spokrewnione, z linji zawierającej ów dziedziczny zawiązek, osobniki dotknięte omawianem cierpieniem zjawiają się oczywiście w większej ilości, potwierdzając na pozór popularne zdanie o „szkodliwości kazirodztwa", w rzeczywistości chodzi tu tylko o ujawnienie oddawna istniejącej, zamaskowanej w danym rodzie właściwości.

Dalsza hodowla krewniacza z usunięciem wszystkich indywiduów schorzałych jest jedyną metodą, która pozwoli radykalnie wyplenić czającą się w genotypie danego materjału ujemną, biologiczną właściwość.

O co jednak właściwie chodzi w niniejszych wywodach, to fakt, że tak w hodowli psów, jak i innych zwierząt domowych, bardzo wybitne osobniki pojawiają się zaledwie zrzadka, kiedy niekiedy, potomstwo ich jest naogół o wiele słabsze, t. j. mniej wartościowe tak, że znowu po kilku dalszych pokoleniach rozbłyśnie jakiś bardziej wartościowy okaz, niby meteor na hodowlanym firmamencie. Postęp zatem hodowlany nie jest ciągły, lecz idzie linją, częstokroć bardzo nawet łamaną. Według dzisiejszego stanu nauk hodowlanych jest to zresztą zjawisko zupełnie zrozumiałe, a nawet oczywiste.

Wybitne osobniki, zwłaszcza reproduktory, są przecież przez hodowców bardzo naogół pożądane i używane do często nawet bardzo wartościowego, ale nieraz różnego pochodzeniem i typem materjału żeńskiego. W rezultacie u potomstwa mogą łatwo powstać objawy t. zw. częściowego atawizmu, wyrażające się, gdy np. chodzi o wyżły, w skłonności do pracy dolnym wiatrem, utracie tempa i stylu pracy, za nikiem skłonności do sekundowania etc.

Ponieważ pomimo wszystko w obrębie naszych czołowych ras polowych wyżłów pewne linje, a zatem pewne geny, są w zasadzie identyczne, więc objawy

owego atawizmu są do pewnego stopnia niekompletne, dając w rezultacie bardzo niewyrównane potomstwo od osobników, jakie wyżej opisałem, do materjału o dobrych cechach polowych, osobniki jednak dorównujące, powiedzmy, znakomitemu ojcu pojawiają się tylko wyjątkowo i to naogół bardzo rzadko.

Niewątpliwie istnieją jednak rozpłodniki obu płci, które, łączone nawet z gorszym od siebie i obcym krwią materjałem, dają wybitne potomstwo. Jeśli chodzi o pointery, jako tego typu rozpłodnika, na ostatnim Kongresie Kynologicznym we Frankfurcie wymienia p. Ch. Huge „Sanior Gleneur", który z czterema sukami, należącemi do zupełnie odrębnych linij krwi, dał w potomstwie bez żadnego wyjątku pierwszorzędnych zwycięzców na field trialsach, odznaczających się znakomitym wiatrem. Pan dr. Bielawski w bardzo interesującym liście zwraca mi uwagę na równie „prepotentnego" reproduktora „Skogis Tricka". Już jego syn jednak ze znakomitą „Skogis Sessan" dał wprawdzie championa „Skogis Primo de Rivera", ale i cały szereg psów zupełnie innego kalibru. Dwa z nich „Skogis Grom" i „Skogis Boy", jako psy, posiadające znakomite pochodzenie polowe, eksportowane do Polski, okazały się tak jako indywidua polowe, jak też i rozpłodniki zupełnemi miernotami, tak, że championy polowe ostatecznie w potomstwie tych reproduktorów... rozeszły się zupełnie po kościach.

Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że bardzo często wybitne uzdolnienia polowe pragniemy osiągnąć i wydobyć tam, gdzie ich już niema, pomimo bardzo bliskiego stopnia pokrewieństwa naszego materjału z wybitnymi czy czołowymi przedstawicielami danej rasy.

W danym razie w dosłownem znaczeniu korzystne i wartościowe związki ominęły nasz materjał i tu już żadne „inbredy" czy „linebreeding" nie pomogą. Podstawą postępu hodowlanego jest bowiem ścisła selekcja, a drogą do utrwalenia jej wyników jest tylko i wyłącznie chów bliski, krewniaczy, prowadzony wszakże li tylko i jedynie pomiędzy najwybitniejszemi jednostkami w danym rodzie.

Rzecz jasna, że metodyki takiej, jaką w powyższych uwagach próbowałem naszkicować, nie potrafi zastosować przeciętny właściciel jednej czy dwu suk, trzymanych dla użytku myśliwskiego i od czasu do czasu używanych do rozpłodu. Tego typu hodowla, raczej chów reprodukcyjny, da się w dalszym ciągu prowadzić według dawnych utartych metod i będzie dawał, zależnie od jakości materjału, w potomstwie wahania od znośnego psa użytkowego do wyjątkowo w takich warunkach pojawiającego się osobnika o, powiedzmy, wyższych właściwościach polowych trialera w ścisłem znaczeniu słowa.

Hodowca na szerszą skalę, zdający sobie sprawę ze zjawisk i procesów dziedziczenia, ma możność, opierając się na wynikach badań lat ostatnich, osiągnąć wyżyny postępu dziś już nieoczekiwane, produkując materjał istotnie jednolity pod względem możliwości i zdolności polowych istotnie najwyższej klasy, materjał niedziedziczący żadnych wad budowy (wadliwa pierś, sztywne skoki, spadziste zady etc.), a zatem pod każdym względem wartościowy.

By módz wszakże ten cel osiągnąć, trzeba utrwalenia materjału przez łączenie w chowie krewniaczym istotnie najlepszych osobników danego rodu, nieubłaganej selekcji wszystkiego co gorsze polowo, co słabsze fizycznie, lub ma wady budowy. Znaczy to ni mniej ni więcej tylko to, że w ciągu 4 do 5 pokoleń większość produktów hodowlanych, których nie można pozbywać się w wieku 6—8 tygodni, jak to dziś przeważnie bywa, lecz trzeba obserwować do czasu ukończenia rozwoju, musi być brakowana bezwzględnie, przedstawiając materjał często zupełnie bezwartościowy, obok kilku udanych, istotnych „asów".

Zdaję sobie w zupełności sprawę z tego, jakie trudności musi za sobą taka metoda pociągnąć, choćby ze względu na ofiary czysto finansowej natury. Niemniej, gdyby na kontynencie Europy znalazło się dwu czy trzech hodowców, stosujących naszkicowane wyżej metody postępowania, a ogół hodowlany odnosił się do nich z należytem zrozumieniem i ujęciem istoty sytuacji, niewątpliwie postęp w hodowli psów myśliwskich byłby nietylko szybszy, lecz i trwalszy i bardziej w całem słowa znaczeniu „twórczy", niż to ma miejsce w warunkach dzisiejszych.



Grupa sędziów i zawodników z prezesem mec. Lenikiem i czołowym zawodnikiem p. Koschembar - Łyskowskim na czele. (Do art. na str. 535).

Z praktyki hodowli psów ostatnich lat mamy już szereg przykładów, iż musi ona, o ile chodzi o materjał czołowy, iść we wspomnianym kierunku. Drogą prowadzenia hodowli w ściśle zamkniętych prądach krwi, a więc ściśle mówiąc w chowie krewniaczym u niemieckich owczarków, pomimo występowania w obrębie tej rasy szeregu objawów t. zw. degeneracji, którą sygnalizują niektóre osobniki, obarczone wadami konstytucyjnemi t. zw. „Warnungshunde". Jeszcze dalej idzie tendencja do hodowli krewniaczej w obrębie wyżłów niemieckich, gdzie pod datą 15.V b. r. w czasopiśmie „Der Hund" czytamy: „dziś wszyscy bodaj wybitniejsi hodowcy krótkowłosych wyżłów są przekonanymi zwolennikami chowu krewniaczego, ulegając przewadze faktów. Nie jesteśmy ślepi, o ile chodzi o możliwe niebezpieczeństwa tej metody, których łatwo uniknąć, używając tylko nawskroś zdrowych rozpłodników".

Jako przykład, przytoczony jest zwycięzca na licznych próbach polowych „Drall v. d. Dreieck", mający niemniej jak trzynaście razy powtarzającą się w rodowodzie sukę „Erva v. Pannstadt", tu więc chów podług prądów krwi przechodzi w ścisły chów krewniaczy z naprawdę pomyślnemi wynikami. Bo choć, szczerze mówiąc, trudno przyznać, by hodowla ras kontynentalnych w Niemczech miała dać dotąd znakomite wyniki, a przeprowadzone z wielką pompą pokazy sprawności z okazji ostatniego Kongresu we Frankfurcie skończyły się zupełnem fiaskiem, to przyczyna niepowodzenia leży gdzieindziej. W tem przedewszystkiem, że idea t. zw. „dowodnego psa", tak jak ją Niemcy pojmują, jest zgoła niezdrową biologicznie, prowadząc do chęci połączenia zupełnie sprzecznych wrodzonych skłonności, a na dobitek regula-

miny prób są tego rodzaju, że trudno wyłuszczyć wrodzone walory myśliwskie w tabelach ocen ukryte w szeregu wymagań, odnoszących się jedynie tylko do tresury, a więc bez znaczenia, jeśli chodzi o losy przyszłych pokoleń.

To są już jednak, że się tak wyrażę, poboczne objawy, występujące w hodowli cytowanej rasy psów, w niczem nieumniejszające niewątpliwie dobrych hodowlanie skutków mądrze zastosowanego chowu krewniaczego.

Na znaczenie tej metody hodowli i jej właściwą istotę starałem się według możności zwrócić w swym przydługim artykule uwagę hodowców, zainteresowanych w rozwoju hodowli psa myśliwskiego.

Prof. Dr. TEODOR MARCHLEWSKI.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. P. FRANCISZEK GNIAZDOWSKI.

W dniu 26 sierpnia b. r. po długiej chorobie zmarł ś. p. Franciszek Gniazdowski, właściciel Warpalic w powiecie rypińskim. Powszechnie szanowany dla wielkiej prawości charakteru i pracowitości zarówno w swoim zawodzie, jak i na terenie społecznym, pozostawił po sobie ogólny żal wśród ludzi, z któ ymi żył i pracował.

Zmarły przez szereg lat był jednym z delegatów Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich na powiat rypiński. Zamiłowany myśliwy i hodowca, położył duże zasługi w dziedzinie łowiectwa.

Zgromadzeni pod znakiem św. Huberta składają hołd Jego pamięci.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU OBORNIKI.

Istniejące na terenie powiatu obornickiego (woj. poznańskie) Towarzystwo Łowieckie nie uległo dotychczas likwidacji i jest nadzieja, że działalność jego spotęguje się w roku bieżącym na skutek zaszłych przychylnych zmian w ustosunkowaniu się myśliwych do organizacji.

W okresie sprawozdawczym starostwo powiatowe wydało 133 karty łowieckie, co w porównaniu z rokiem ubiegłym oznacza wzrost o 38 kart. Na okres trzyletni wydano 117 kart, jednorocznych 12, a dwutygodniowych 4. Z ogólnej liczby wydanych kart przypada około 50% na personel lasów państwowych i prywatnych.

W okresie sprawozdawczym odebrano 4 karty łowieckie, a odmówiono wydania karty w jednym wypadku.

Jak już w ubiegłym roku zaznaczyłem, z osób otrzymujących karty tylko trzy należą do Wielkopolskiego Związku Myśliwych, a zaledwie kilkanaście do miejscowego Towarzystwa Łowieckiego; reszta myśliwych chodzi luzem.

Wobec dokonanej zmiany granic powiatu w roku ubiegłym zmniejszyła się ogólna ilość obwodów łowieckich i wynosi obecnie:

7	obwodów własnych państwowych	o powierzchni	20 534,19	ha
49	„ „ prywatnych	„	28 895,75	„
108	„ wspólnych	„	40 990,00	„
		Razem:	90.419,94	ha.,

co w porównaniu z obecną powierzchnią powiatu, wynoszącą 96.508,99 ha, daje 6.089,05 ha. jeszcze niezarejstrowanej powierzchni obwodów, z której atoli pewna część przypada na zabudowania i t. p.

W związku z zapoczątkowaniem akcji nowego podziału administracyjnego powiatu przez tworzenie gmin zbiorowych, dotychczasowa ilość wspólnych obwodów łowieckich ulegnie z biegiem czasu dalszej redukcji; zabiegi Delegatów Powiatowych w zachodnich województwach winny bowiem zmierzać w kierunku bezwzględnej likwidacji obecnych małych, karłowatych terenów łowieckich, w których gospodarka idzie wyraźnie po linji tępienia istniejących słabych zwierzostanów, — a więc w kierunku łączenia ich w większe łowiska, których dzierżawa zostanie udostępniona dla towarzystw łowieckich i w których można będzie rozpocząć racjonalną hodowlę drobnej zwierzyny i sarn.

Stan zwierzyny w okresie sprawozdawczym uległ rozmaitym zmianom, a w szczególności:

Wskutek długotrwałej posuchy w okresie wiosennym i letnim nie dopisały lęgi zajęcy i kuropatw, których stan ilościowy można określić, jako o 50% mniejszy od stanu w roku 1933; odpowiednio do tego wyniki polowań zbiorowych na zające na terenie lasów i pól były bardzo nikłe, a wiele majątków nie opolowało wogóle swych terenów.

Stan sarn i jeleni został zredukowany przez odstrzał kóz i łań w ten sposób, że obecny stosunek płci można określić przeciętnie, jako 1:2 u obu rodzajów zwierzyny.

Wysokość odstrzału zwierzyny racicowej w okresie sprawozdawczym przedstawia się następująco:

Obwody łowieckie	Jeleni			danieli		sarn		dzików
	byków		łań	byków	łań	rogaczy selekc.	kóz	
	kapit.	selekc.						
państwowe	1	12	36	6	21	45	252	32
prywatne własne	1	15	29	—	—	39	104	—
wspólne	—	3	—	—	—	—	—	5
Ogółem	2	30	65	6	21	84	356	37

Powierzchnia ostoi jeleni wynosiła w okresie sprawozdawczym tylko 11.827 ha, zmniejszyła się bowiem o 3.920 ha, które weszły w skład powiatu czarnkowskiego.

Stan jeleni na powierzchni tej wynosił na 1.III.1935 w przybliżeniu około 230 sztuk, w tem 90 sztuk byków. O ile więc stosunek płci uległ poważnej poprawie, o tyle ogólna liczba jeleni jest jeszcze za duża, wynosi bowiem 2 sztuki na 100 ha i musi w następnym roku myśliwskim uledz dalszej redukcji (1 jeleń na 100 ha powierzchni łowiska). Da to możność wyhodowania zdrowych i kapitalnych sztuk, a równocześnie odciąży własność leśną od nadmiaru szkód w uprawach i zagajnikach, narazie aż nadto widocznych, gdyż ostoja jeleni w powiecie obornickim znajduje się wyłącznie na terenie lasów posówkowych.

Również stosunek płci u sarn został przez zwiększony odstrzał kóz wydatnie poprawiony, a dalsze uregulowanie go powinno nastąpić w najbliższym roku myśliwskim.

Walka z kłusownictwem i wnykarstwem nie ustaje, a w roku sprawozdawczym ujawniono 19 wypadków wykroczeń przeciwko prawu łowieckiemu, a w szczególności:

3 wypadki zasądzono po 2 zł. grzywny z zam. po 1 dniu aresztu;
2 „ „ „ 3 „ „ „ „ „ „
1 wypadek „ na 5 „ „ „ na „ „
6 wypadków „ po 20 „ „ „ po 2 dni „
1 wypadek „ na 20 „ „ i 5 dni bezwzgl. „
1 „ „ „ 30 „ „ i 10 „ „ „
2 wypadki „ po 50 „ „ i po 14 dni „ „
1 wypadek „ na 100 „ „ i 4 tyg. „ „
1 „ „ „ 100 „ Jednak sąd okr. uwolnił przestępcę od kary
1 „ odstąpiono sądowi grodzkiemu do załatwienia;
2 wypadki umorzono dla braku konkretnych dowodów.

INŻ. LEON MARTYNIEC,
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Oborniki.

SPRAWOZDANIE Z KONKURSU WYŻŁÓW DOWODNYCH, urządzonego w dniu 29.VIII. r. b. przez Wielkopolski Związek Myśliwych.

O godz. 9-tej rano ukonstytuowała się Komisja Sędziowska w której skład weszli: p. Dr. Jerzy Szuman, jako przewodniczący Komisji i delegat Wlkp. Izby Roln., p. Franciszek Unrug. I wiceprezes Wlkp. Zw. Myśliwych, p. nadleśn. inż. Leon Martyniec, II wiceprezes Wlkp. Zw. Myśliwych, p. inż. Janusz Zajączkowski, delegat Urzędu Wojewódzkiego, p. Ordynat Jan Taczanowski, członek Zarządu Wlkp. Zw. Myśl. i delegat pow. PZSŁ., p. Stanisław Przyłuski, p. Roch Nowicki i p. Aleksander Gaponow, wybitni znawcy psów myśliwskich.

Techniczną organizację konkursu prowadził sekretarz WZM., p. K. Hoszowski. Punktualnie o godz. 10-tej rano, jak to zapowiedział program, zebrali się w lesie maj. Dusina uczestnicy konkursu, Komisja Sędziowska i licznie przybyli goście m. i. reprezentant Łowca Wielkopolskiego p. nadleśn. Tadeusz Metzig oraz p Dyrektor Kazimierz Świderski z Sosnowca, których w serdecznych słowach powitał Prezes Wlkp. Zw. Myśliwych p. ppłk. rez. K. Chłapowski, zachęcając pp. hodowców psów myśliwskich do dalszej wytężonej i owocnej pracy na tem polu.

Do konkursu stanęło 8 psów dowodnych rasy niemieckiej i 1 pointer, z których 6 w klasie starszych i 3 w klasie młodych.

Następnie rozpoczęto próby w klasie psów starszych, w której poszczególne psy osiągnęły następującą punktację:

wyżlica „Magda v. d. Sonnenburg" — rasa niem. szorstko włosa — 170 pkt., a mianowicie: praca leśna 50 p., — ciętość 9 p., — praca wodna 18 p., — praca polna 93 p., — właśc. p. J. Kurnatowski i leśn. p. Kaatz — mener leśn. Kaatz.

wyżeł „Grom z Rościnna" — rasa niem. szorstkowłosa — 160 pkt. — a mianowicie: praca leśna 47 p. — ciętość 15 p. — praca wodna 24 p. — praca polna 74 p. — właśc. i mener leśn. B. Poczta.

wyżeł „Lord" — rasa niemiecka szorstkowłosa — 150 pkt. — a mianowicie: praca leśna 50 pkt. — ciętość 20 pkt. — praca wodna 9 pkt. — praca polna 71 pkt. — właśc. p. J. Kurnatowski i p. leśn. Kaatz — mener leśn. p. Kaatz.

wyżlica „Juno v. d. Sonnenburg" — rasa niemiecka szorstkowłosa — 146 pkt. a mianowicie: praca leśna 32 pkt. — ciętość 8 p. — praca wodna 15 p. — praca polna 91 p. — właśc. p. Prezes S. Mravincsics — mener leśn. p. Fr. Ciupiński.

wyżeł „Tok" — rasa niemiecka krótkowłosa — 146 pkt., a mianowicie: praca leśna 38 p. — ciętość 18 p. — praca wodna 21 p. — praca polna 69 p. — właśc. p. Wł. Piotrowski, mener p. Marjan Siudzik.

wyżeł „Tral" — rasa niemiecka, krótkowłosa — 143 pkt., a mianowicie: praca leśna 38 p. — ciętość 18 p. — praca wodna 21 p. — praca polna 69 p. — właśc. p. Kuntze — mener p. M. Siudzik.

Do konkursu klasy młodych stanęły następujące psy:

wyżeł „Dar z Boreczku" rasa niemiecka szorstkowłosa — 103 pkt. a mianowicie: praca leśna 38 p. — praca wodna 9 p. — praca polna 56 p. (przyczem w pracy za farbą otrzymał 8 p. i w ciętości 16 p., których w klasie młodych w myśl regulaminu nie zalicza się do ogólnej oceny punktów) — właśc. p. J. Kurnatowski i p. leśn. Kaatz — mener p. leśn. Kaatz.

wyżeł „Iwan z nad Czarnego Jeziora"—rasa niemiecka szorstkowłosa — 94 pkt. a mianowicie: praca leśna 32 p. — praca wodna 9 p. — praca polna 53 p. (przyczem w ciętości otrzymał 27 p., których w klasie młodych w myśl regulaminu nie zalicza się do ogólnej oceny punktów) — właśc. i mener p. leśn. Fr. Ciupiński.

wyżeł „Bej" — rasa pointer — 85 pkt., a mianowicie: praca leśna 13 p. — praca wodna 6 p. — praca polna 66 p. — właśc. p. K. Sawicki — mener p. Marjan Siudzik.

Zaraz po ukończeniu prób przystąpiła Komisja Sędziowska do oceny prac i premjowania psów.

I nagrodę — medal srebrny Wlkp. Izby Roln. i bronzowy medal Min. Roln. i Reform Rolnych przyznano p. Janowi Kurnatowskiemu (Hodowla psów myśliwskich Boreczek, Dusina, pow. Gostyń) za wyżlicę „Magda", która uzyskała 170 pkt. — mener leśn. p. Kaatz.

II nagrodę — medal bronzowy Min. Roln. i Reform Rolnych i medal srebrny Tow. Hod. Psów Myśl. w Warszawie przyznano hodowcy p. leśn. Bolesławowi Poczta z Rościnna, p. Skoki, pow. Wągrowiec, za wyżła „Grom", który uzyskał 160 pkt. — mener właściciel.

III nagrodę — medal bronzowy Wlkp. Izby Roln. przyznano p. Janowi Kurnatowskiemu „Hodowla Psów Myśliwskich Boreczek", Dusina, pow. Gostyń, za wyżła „Lord", który uzyskał 150 pkt. — mener leśn. p. Kaatz.

IV nagrodę — list pochwalny Wlkp. Zw. Myśliwych przyznano Prezesowi Sądu Wojew. p. S. Mravincsics za wyżlicę „Juno", która uzyskała 146 pkt., mener leśn. p. Franciszek Ciupiński. „Hodowla psów myśliwskich z nad Czarnego Jeziora", Lechlin, p. Skoki, pow. Wągrowiec.

IVb nagrodę — list pochwalny Wlkp. Zw. Myśliwych przyznano p. Wł. Piotrkowskiemu, Grodziec k/Będzina, za wyżła „Tok", który uzyskał 146 pkt., mener p. Marjan Siudzik „Hodowla psów myśliwskich z nad Warty", Mosina.

V nagrodę — list pochwalny Wlkp. Zw. Myśliwych przyznano p. Kuntzemu z Leszna za wyżła „Tral", który uzyskał 143 p., mener p. Marjan Siudzik „Hodowla psów myśliwskich z nad Warty" Mosina.

Zaofiarowaną przez p. Dyrektora Kazimierza Świderskiego z Sosnowca piękną, bronzową plakietę, przyznała Komisja Sędziowska p. Janowi Kurnatowskiemu, który nie szczędził trudu, pracy i kosztów, ażeby w swojem pięknem łowisku dać możność wszystkim konkurentom stanąć do popisów.

Psy z klasy młodych nie otrzymały żadnej nagrody, a to z tej przyczyny, że nie wyróżniły się dodatnio w pracy i wykazały za małe przygotowanie do konkursów.

Na zakończenie przemówił Prezes WZM. p. ppłk. rez. Chłapowski, dziękując w imieniu Wlkp. Zw. Myśl. Ministerstwu Roln. i Reform Roln., Wielkopolskiej Izbie Rolniczej, Towarzystwu Hodowli Psów Myśliwskich i p. Dyrektorowi K. Świderskiemu za łaskawie przyznane nagrody na tegoroczny konkurs. Również przewodniczącemu Kom. Sędz. p. Dr. J. Szumanowi i całemu zespołowi sędziów za wybitną pracę przy sędziowaniu. Pozatem zwrócił się p. Prezes do pp. hodowców psów myśliwskich, by nie ustawali w pracy nad tresurą i hodowlą tak potrzebnych łowiectwu polskiemu psów myśliwskich oraz, by baczniejszą uwagę zwrócili na hodowlę tropowców, jamników, terierów i t. p., których zupełny jest brak w naszych łowiskach, posiadających pokaźny stan grubej zwierzyny, a która wobec tego powinna w hodowli psów zająć jedno z dominujących miejsc.

Nadmienić wypada, że w zrozumieniu tej ważnej w łowiectwie gałęzi pracy, uczestnicy konkursu wyrazili życzenie założenia przy W. Z. M. samodzielnej Sekcji hodowli psów myśliwskich, przystępując równocześnie jako członkowie.

Dziękując w imieniu WZM. Gospodarzowi p. Janowi Kurnatowskiemu za tyle poniesionych trudów i staropolską gościnność, zamknął p. Prezes okrzykiem na cześć św. Huberta konkurs, który na długo pozostanie w miłej pamięci wszystkich uczestników.

SPRAWOZDANIE Z MAŁYCH ZAWODÓW STRZELECKICH NA POMORZU.

Pomorski Klub Myśliwski w Grudziądzu urządził w dniu 14.VII. 1935 r. małe zawody w strzelaniu do rzutków, w których wzięło udział 26 zawodników. Strzelano przy względnych warunkach fizycznych, po dwie serje z 20 rzutków, na dwóch wyrzutniach. Rzutki pochodziły z fabryki Duday. Fabryki amunicji Pocisk i Pionki przekazały Klubowi, jako nagrody dla najlepszych zawodników, po 300 nabojów bezinteresownie, za co pozwalamy sobie im na tem miejscu podziękować. Strzelano wyłącznie amunicją krajową.

Wyniki tak przy próbnem, jak i przy obowiązkowem strzelaniu były bardzo dobre.

Pierwsze miejsce uzyskał p. Łyskowski, drugie p. Myszkowski, trzecie p. Mączkowski, czwarte p. Mołdyszewski, piąte p. Czapczyk, szóste p. Szeliski.

W strzelaniu tem chodziło Klubowi nietyle o mistrzostwo, ile o wybadanie warunków ściśle ze strzelaniem do rzutków związanych, a w szczególności o propagandowe wypróbowanie krajowej amunicji. W tym względzie dały doskonałe wyniki naboje Pocisku i Pionków (W. S. M.).

DOBRE I ZŁE.

Ciekawy artykuł pióra p. Włodzimierza Czerwińskiego p. t. „Uwagi na temat kłusownictwa na wodach podgórskich" znajdujemy w Nr. 9 „Przeglądu Rybackiego" z dn. 1 września b. r.

Autor zaznacza we wstępie, że jedną z najpoważniejszych bolączek rybactwa ne wodach otwartych jest kłusownictwo. „Zwalczanie tej plagi jest nadzwyczajnie utrudnione — pisze — przez niski naogół stan kultury moralnej naszego społeczeństwa". Pod tem zdaniem podpisać się możemy obiema rękami i my, myśliwi, zdając sobie sprawę, jak często niestety proceder kłusownictwa znajduje świadome poparcie ze strony konsumenta, wykorzystującego nielegalny handel zwierzyną. Odgrywa tu rolę „taniość kradzionego przedmiotu" — nb. często wcale nie tak jaskrawa w stosunku do normalnych cen rynkowych we właściwym sezonie.

„Walka z tem kłusownictwem na wodach nizinnych jest łatwiejsza — pisze dalej p. Czermiński — gdyż jest ona bardziej uchwytna, dzięki stosowanym przez kłusowników narzędziom i dlatego utrzymywanie w obwodzie odpowiedniej, energicznej straży zasadniczo rozwiązuje sprawę, aczkolwiek wymaga poza tem całego szeregu starań".

„Gorzej znacznie przedstawia się walka z kłusownictwem na wodach górskich, obfitujących w pstrągi. Poszukiwany na rynk gatunek ryby, łatwość jego zdobycia przez kłusownika—stanowią nadzwyczajnie ważne momenty zarówno w rozwoju, jak i zwalczaniu kłusownictwa".

„Organizowanie licznej i kosztownej straży niezawsze odnosi dostateczny skutek, choćby dlatego, że trudno jest chwycić na gorącym uczynku kłusownika, wybierającego z pod kamieni pstrągi ręką, lub zakładającego na noc niewidoczne sznurki z przynętą".

Wynika jednak z powyższego, że kłusownictwo na wodach nizinnych nie jest ani tak rozpanoszone, ani niepodobne do zwalczania, ani więc z tego powodu tak niebezpieczne, jak to, które wprost zagraża stanowi ilościowemu pstrąga.

I tu właśnie występować winna rola społeczeństwa, do którego dziś rozpoczęto odpowiedni apel z inicjatywy Bielsko-Bialskiego T-wa Wędkarskiego.

To, co czynią czynniki zainteresowane co do zagrożonego przez kłusownictwo pstrąga, w stosunkach łowieckich, niestety, odnosi się do wszelkiej zwierzyny, gdyż zagrożenie jej stanu ilościowego występuje wszędzie, gdzie tylko niedość mocno położony jest nacisk na racjonalną ochronę zwierzyny.

Zresztą najlepsze zorganizowanie tej ochrony nie chroni całkowicie zwierzyny przed dewastowaniem jej zapomocą cichego wnykarstwa i sidlarstwa, a gdzie ochrona ta nie jest zorganizowaną pierwszorzędnie, a więc śmiało można twierdzić, że na przestrzeni ¾ terenów łowieckich, te sposoby kłusownictwa, pomijając odstrzał, całkowicie uniemożliwiają dochowanie się poważniejszego ilościowo zwierzostanu, zwłaszcza drobnego, stając się w rękach zorganizowanych band wielkiem źródłem nielegalnego dochodu, idącego w parze z powolnem, lecz całkowitem wyniszczeniem zwierzostanu danych okolic.

Niestety, trzeba to sobie powiedzieć wyraźnie, że dotąd, dopóki społeczeństwo samo nie poda ręki wysiłkowi myśliwych w walce z wnykarstwem i sidlarstwem, dopóki nasze gosposie nie przestaną zakupywać „taniej" zwierzyny od domokrążców w miastach i miasteczkach, dopóki nasze handle zwierzyną i restauracje nie zadadzą sobie trudu sprawdzania pochodzenia sprzedawanej im przygodnie zwierzyny, bezkarność cichego kłusownictwa pod postacią łowienia zwierzyny we wnyki i sidła będzie zawsze opłacać się procederzystom, a kwitnącym stanem zwierzyny nieprędko cieszyć się będą mogli właściciele znacznej większości terenów, nawet w najlepszych latach „urodzaju" na zwierzynę.

*

„Polska Zbrojna" od pewnego czasu zamieszcza „Kronikę łowiecką". Jest to drobny kącik, przeznaczony głównie do informowania myśliwych o czasie polowania na daną zwierzynę. Zdawałoby się, że zaniechanie wydawania (z krzywdą prenumeratorów) zapoczątkowanego w swoim czasie obszernego „Dodatku łowieckiego" i zastąpienie go rzadziej ukazującą się, miniaturową „Kroniką" powinno przynajmniejześrodkować usiłowania redakcji pisma w tym kierunku, ażeby podawanych przez nie wiadomości nie cechowały zasadnicze błędy łowieckie, stające w kolizji z ustawą.

A oto w ostatniej „Kronice" z dn. 8 b. m. między innemi czytamy:

We wrześniu polujemy.... „Z naganką na kuropatwy, b a ż a n t y (!) jarząbki i słonki; ławą na b a ż a n t y (!) i kuropatwy. Pomijając tę nieścisłość formalną, że polowanie z naganką wyłącznie na słonki jako takie zaliczyć chyba trzeba do sennych marzeń, gdzieżby ich bowiem mogło być tyle, aby polowanie na ten gatunek miało dominować, stanowczo protestować należy przeciwko mylnemu informowaniu myśliwych o dozwolonym czasie polowania na bażanty, których odstrzał prawo łowieckie przewiduje dopiero od 16 października, podczas gdy we wrześniu mają zażywać całkowitej ochrony i są zresztą jeszcze niewyrośnięte i niewyfarbowane.

Szkoda, że „Polska Zbrojna", rozporządzając w swoim czasie bezinteresownem współpracownictwem fachowca w redagowaniu „Dodatku łowieckiego" w osobie p. Jerzego Dylewskiego nietylko ten dodatek sobie zlekceważyła, lecz w dzisiejszej „kronice" nie stara się nawet o ścisłe informowanie myśliwych według obowiązujących przepisów prawa łowieckiego.

*

W „Aktualnych Wiadomościach Leśniczych", wychodzących we Lwowie, w nowowprowadzonym „Dziale łowieckim", czytamy, krótki, lecz dużo mówiący artykulik p. t. „Gronostaj i tryb jego życia" p. A. Jutrowskiego.

Ze względu na to, że zwierzątko to prowadzi zasadniczo nocny tryb życia, a ślad zostawia taki sam, jak tchórz, niewielu myśliwych i leśników — mówi autor — ma możność bliższego poznania gronostaja, który jednakże jest bardzo krwiożerczym szkodnikiem.

„Lubi wilgotne lasy, brzegi wód, kupy kamieni i zarośla, zawita czasem i do wiosek, gdzie wyrządza duże szkody w hodowli drobiu, jest krwiożerczy, łazi po drzewach, skacze i pływa.

Żywi się myszami, szczurami, p t a c t w e m w s z e l k i e g o r o d z a j u, j a j k a m i, królikami, z a j ą c a m i i m ł o d e m i s a r n a m i. Jest specjalistą w transporcie jaj, które bierze pod brodę, przyciska do piersi i tak z niemi biega. Dostaje się do wszelkich gniazd. Gdzie żaden inny drapieżnik nie dojdzie, tam gronostaj swoje zrobi.

Jego krwiożerczość pobudza w nim taką odwagę, że rzuca się nawet na młode sarniątka, wskakuje im na plecy i ssie krew z karku".

Następnie autor w obawie, aby nie zlekceważono jego opinji o gronostaju, tak kończy swe uwagi, zestawione na zasadzie praktyki i obserwacyj:

„Jeżeli komu chodzi o to miłe stworzenie, niech je sobie wyłapie z terenu i trzyma w niewoli. Tu może się najlepiej przekonać o jego czynach i krwożerczości.

Mój sąsiad — pisze dalej — któremu gronostaj wyrządził większe szkody w hodowli drobiu, do dnia dzisiejszego jeszcze nie zorjentował się i przypisuje winę innemu drapieżnikowi. Uważam, że, o ile chcemy podnieść stan zwierzyny łownej, należy tępić gronostaja zimą i latem".

Poszukiwanie różnorodności pokarmu przez gronostaja nie wybija na pierwsze miejsce jego względnej pożyteczności w tępieniu od czasu do czasu szczurów i myszy, a także królików (dzikich), natomiast jego wielka krwiożerczość i porzucanie mięsa ofiar po nasyceniu się krwią, a także szczególna predylekcja do jaj wszelkich ptaków, czynią go wybitnym szkodnikiem w odniesieniu do zwierzyny.

Z własnej obserwacji mogę przytoczyć fakt, dowodzący odwagi i drapieżności gronostaja, który w moich oczach walczył o jakąś złowioną ofiarę ptasią z domowym kotem. W kłębek zwinięty i uczepiony zębami do szyi kota, unieszkodliwił go w niespełna minutę, przegryzłszy tętnice i jako tryumfator ukrył się błyskawicznie przed strzałem, który miałem właśnie dać do niego, w kamionce polnej, na której walka ta się odbywała.

WUZET.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

„DEUTSCHE JAGD".

Nr. 15/1935, str. 390. *„Kaczki postrzelone"*. Ilość postrzałków niepodjętych jest bodaj największa przy polowaniach kaczych. Wpływa na to zarówno trudny do dostępu teren, jak i zdolność ptaków do nurkowania i dłuższego pobytu pod wodą. Tembardziej przeto zalecać należy jak najgoręcej unikanie strzałów dalekich oraz używanie śrutu zbyt grubego, lub zbyt cienkiego. Najodpowiedniejszy jest śrut latem Nr. 5, a w jesieni Nr. 4 o średnicy 2.75 — 3 mm., daje on bowiem najlepsze pokrycie przy dostatecznej sile penetracji. Najtrudniejszemi do odnalezienia są naturalnie kaczki zbarczone, t. j. ze złamanem skrzydłem. Poznać je można po tem, że po strzale padają one, trzymając głowę wzniesioną i machając szybko skrzydłem zdrowem. Ponieważ strzał drugi do spadającego ptaka jest trudny, należy przeto trzymać strzelbę w pogotowiu i strzelić niezwłocznie po opadnięciu kaczki na wodę, uprzedzając zanurzenie się. Jeżeli to się nie uda, pamiętać należy, że kaczka zbarczona, która spadła na wodę, dąży natychmiast do lądu, względnie do zaszycia się w gęste sitowie. Toteż należy śpieszyć, aby odciąć jej drogę. Odwrotnie kaczka, spadająca na ląd, dąży na wodę i w tym też kierunku należy skierować poszukiwania. Zauważono jednak, że przy zmierzchu kaczka, świadoma korzyści zapadającej ciemności, nie śpieszy na czystą taflę wody i przywarowuje w trawie. Ptak, trafiony nieśmiertelnie w części miękkie, zaznacza to przez skurczenie się w sobie, ale leci dalej, zwalniając jedynie lot stopniowo, aż się opuści nieraz bardzo daleko. Ptak, trafiony w płuca, nie zdradza narazie efektu strzału, leci szybko dalej, aby w pewnej chwili odrazu zwinąć się i spaść martwym na ziemię. Wszystkie te okoliczności sprawiają, że pies odpowiednio ułożony jest niezbędnym towarzyszem myśliwego w polowaniu na kaczki, oszczędzając mu zawodu i przykrości, a zwierzynie — cierpienia.

Nr. 15/1935, str. 281. R. Mangels *„O ciągach kuropatw w Europie Wschodniej"*. H. Grote zamieścił w „Ornithologische Monatsberichter" (Nr. 2/1934) na podstawie źródeł rosyjskich ciekawe spostrzeżenie o regularnych jesiennych ciągach kuropatw w Rosji południowej. Ornitolodzy Szitkow i Buturlin stwierdzają mianowicie, że o ile w Rosji północnej i środkowej kuropatwa jest, podobnie jak w Europie środkowej, ptakiem osiadłym, o tyle w południowo wschodnich częściach Rosji kury odbywają regularne przeloty sezonowe. Na podstawie kilkunastoletnich systematycznych obserwacyj ustalono, że jesienny ciąg kuropatw, trwający nieraz do grudnia, bierze początek w guberniach saratowskiej i samarskiej oraz w ziemi kozaków dońskich, skierowuje się na południe i przez Kamyszin i Caricyn dąży do Astrachania, w okolicach którego spędza zimę. Część kur ciągnie jednak dalej, na Kaukaz. Przelot odbywa się przed zachodem słońca, ale trwa nieraz aż do zupełnej nocy. Setki stad, liczące po 4 do 20 sztuk, ciągną jedne za drugiemi. Przelot wznawia się po wypoczynku wczesnym rankiem. Regularność ciągów kuropatw spowodowała nawet powstanie przemysłowego łowienia ich w siecie. Inny uczony rosyjski, Brauner, podaje w pracy, która ukazała się w 1923 r., iż podobny ciąg kuropatw istnieje w jesieni na wybrzeżach morza Azowskiego i Czarnego w kierunku zachodnim. Odescy myśliwi stwierdzają coroczne przeloty kuropatw, kierujących się na południowy zachód, co daje powód do twierdzenia, że przelatują one morze. Jeżeli się zestawi to z niepodlegającym wątpliwości faktem istnienia wędrownych kuropatw w Bułgarji, zwanych tam „syberyjskiemi", to można przypuszczać, że pewna część kuropatw południowo-rosyjskich istotnie udaje się na zimowisko do krajów nadbałkańskich.

Nr. 16/1935, str. 291. W. Hochgrene *„Jak markuje kozioł po strzale?"* — Ulubionym strzałem wielu myśliwych jest strzał w serce. Nie we wszystkich jednak wypadkach kozioł tak strzelony zostaje na miejscu. Często pędzi jeszcze czas pewien, wpadając nieraz na drzewa, aż wreszcie padnie. Strzał w płuca zaznacza kozioł wspięciem się w górę. Jeżeli następnie opuści on głowę, bijąc tylnemi nogami — znaleźć go można już niedaleko. Kozioł opuszcza głowę nisko również przy strzaskaniu jednej z przednich kończyn. Tak postrzelony zwierz ujść może b. daleko. Przy strzale w tylne kończyny, lub w pośladek kozioł przysiada tyłem, ale wyprawia się rychło i uchodzi. Tak strzelony sarnik kładzie się następnie, ale trzyma głowę wysoko i przy zbliżeniu myśliwego uchodzi dalej. Strzał w krzyż powoduje natychmiastowe zrulowanie kozła; ale jeżeli krzyż uszkodzony został tylko lekko, kozioł zaczyna bić nogami i podnosić głowę. Należy wówczas strzelić raz jeszcze, gdyż może on ujść jako tylko ogłuszony. Zwierzę postrzelone w wątrobę uderza tyłem i zgięte, z pochyloną nisko głową uchodzi, ale wkrótce pada. Podobnie zachowuje się kozioł trafiony w nerki, często jednak stoi on pochylony w miejscu, jakby oczekując strzału decydującego. Wśród złych strzałów najczęstszym jest strzał w części miękkie. Tak strzelony kozioł garbi się i ciągnie wolno naprzód, często zatrzymując się i oglądając, zanim się położy. Przy strzale w miękkie części przodu kozioł pod k kuje, zachowując się następnie tak, jak to wskazano wyżej. Farba zawiera części pokarmowe i odchodowe. Dobrze ulokowane strzały w głowę lub szyję powodują rulowanie zwierzyny w miejscu, ale źle trafione mogą być bez pożytku dla myśliwego przyczyną śmierci zwierzęcia, gdyż wobec niemożności sięgnięcia do rany językiem, staje się ona siedliskiem robaków, lub przyczyną gangreny. Trzeba wreszcie zaznaczyć, że nawet zupełnie powierzchowne zadraśnięcie kulą, czy odłamkiem drzewa, może wywołać u kozłów markowanie, wyrażające się odskoczeniem wbok czy naprzód z chwilowem z trzymaniem się. Należy z tego skorzystać, aby drugą, lepiej ulokowaną kulą kozła zdobyć.

Nr. 16/1935, str. 413. Scherping. *„Sprawozdanie z obrad w Dreźnie"*. — Z inicjatywy ks. von Ratibor, występującego w imieniu Międzynarodowej Rady Łowieckiej, odbyły się w dn. 25 czerwca r. b. w Dreźnie obrady przedstawicieli władz łowieckich Rzeszy z p. Scherpingiem, zastępcą W. Łowczego Göringa, na czele, oraz przedstawicieli czeskosłowackich ministerstw rolnictwa i spraw zagranicznych, jak również przewodniczącego Związku Łowieckiego Czechosłowacji, prof. Dyka. Miały one na celu uzgodnienie pewnych zarządzeń łowieckich po obu stronach granicy niemiecko - czechosłowackiej, brak czego uniemożliwiał racjonalną ochronę zwierzyny w tej strefie. Omówieniu podlegały sprawy następujące:

1. Ujednostajnienie terminów ochronnych dla jeleni, danieli, muflonów oraz dla głuszców i cietrzewi uznane zostało za możliwe przez obie strony; również wydaje się możliwem skrócenie okresu odstrzału kozłów według wzoru niemieckiego. Natomiast przedłużenie okresu odstrzału kóz od 16 października do końca grudnia uznane zostało przez stronę czeskosłowacką za nie do przyjęcia, gdyż pociągnęłoby to za sobą nieusprawiedliwiony istotną potrzebą zwiększony odstrzał kóz.

2. Strzał śrutowy do sarn jest dotąd w Czechosłowacji stosowany, acz uznany przez koła łowieckie za nie myśliwski; przedstawiciele władz czechosłowackich mają przeto nadzieję, że przy wszczęciu projektowanego międzykrajowego porozumienia w tych sprawach uda się zakaz strzału śrutem przeprowadzić.

3. Przepisy chronienia dobrze zapowiadających się młodych byków jelenich i kozłów sarnich witane są przychylnie przez przedstawicieli Czechosłowacji, wobec czego można spodziewać się ujednostajnienia ich w obu krajach.

4. Polowanie z gończemi na terenach nadgranicznych daje powód do ciągłych nieporozumień i zatargów. Obie strony uznają przeto za konieczne wzbronienie ich w pasie 10-km. nadgranicznym.

5. Za wysoce celową uznano wreszcie zgodną współpracę władz obu krajów w walce z kłusownictwem, szczególnie rozwielmożnionem w pobliżu granicy; pod tym względem konieczne jest wzajemne poparcie władz przy prześladowaniu, wykrywaniu i karaniu kłusowników.

J. G.

PRZEZ MIKROFON.

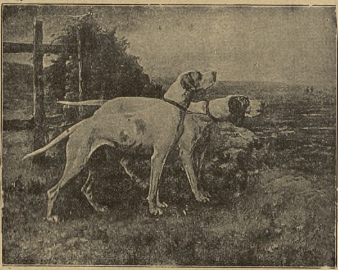
Przypominamy, że w dniu 20 b. m. (data już ustalona) około godz. 21-ej rozgłośnia warszawska Polskiego Radja nada transmisję rykowiska jeleni (z Pomorza). Zaznaczamy, że ewentualnie początek transmisji może nastąpić nieco później, o czem powiadomi speaker.

W dniu 21 b. m. o godz. 17.45 nadana będzie pięciominutówka p. Jerzego Dylewskiego p. t. „Borsuk" z cyklu pogadanek przyrodniczych „Świat zwierząt".

W dniu 25 b. m. o godz. 20-ej nadane będzie „Opowiadanie myśliwskie".

JESIENNE PRÓBY POLOWE.

Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich w dniu 29 września r. b. urządza doroczne jesienne próby polowe dla psów użytkowych angielskich ras (patrz regulamin prób w N-rze 25 z r. 1933 „Łowca Polskiego") na terenach „Okęcie", łaskawie udzielonych przez Zarząd Wojskowego Towarzystwa Łowieckiego.



Zapisy psów przyjmuje sekretarjat Towarzystwa, Nowy Świat 35 (lokal Polskiego Towarzystwa Łowieckiego), w godz. od 9—3-ej i od 5—7-ej wieczorem do dnia 24 września r. b. włącznie. Wpisowe wynosi zł. 10.— od każdego psa dla członków zrzeszonych w stowarzyszeniach kynologicznych, zł. 15.— dla niezrzeszonych.

Obowiązki sędziów przyjąć raczyli pp.: J. Dylewski, W. Garczyński, I. Gymiński, A. Śliwiński, A. Stolarow.

Do Komitetu Organizacyjnego weszli pp.: W. Garczyński, M. Łabędź, K. Kamieński i Z. Tarnowski.

Zbiórka o godzinie 8-ej rano na placu przed Dworcem Głównym (vis à vis wejścia do kas pociągów podmiejskich).

Próby rozpoczną się o godzinie 8½ rano w Falentach.

W celu ewentualnego zamówienia miejsc w autobusie i przygotowania obiadu, Komitet Organizacyjny prób prosi o łaskawe zgłaszanie (także i przez widzów) udziału w próbach osobiście i piśmiennie pod adresem Towarzystwa: Nowy Świat 35, lub telefonicznie pod Nr. 607-98, do dnia 24 września r. b. włącznie.

Zabicie jelenia przez pociąg.

Mamy do zanotowania rzadki wypadek zabicia jelenia przez pociąg. Słyszeliśmy w dawniejszych czasach o zdarzających się w Ameryce najechaniach pociągu na stada bizonów. Natomiast w Polsce wypadki zabijania zwierzyny przez pociąg należą do rzadkości.

W sobotę dn. 7 września r. b. około godz. 20-tej pociąg pośpieszny, zdążający z Warszawy w kierunku Grodna i Wilna, między stacjami Czarna Wieś i Sokółka najechał na jelenia. Zwierzę, oślepione zapewne silnem światłem reflektorów, nie zdołało umknąć i zostało zabite. Jeleń został niezwłocznie załadowany do pociągu pośpiesznego i przewieziony do Wilna. Przedstawia on okaz silnego 14-aka. Oglądany był na dworcu kolejowym w Wilnie przez Dyrektora Kolei Państwowych p. inż. K. Falkowskiego oraz wice prezesa Tow. Łow. Ziem Wsch. p. M. Pawlikowskiego.

Na telefoniczne żądanie Nadleśnictwa Czarna Wieś, z którego terenów zwierzę pochodzi, jeleń został w poniedziałek rano dn. 9 września odstawiony pociągiem osobowym z powrotem do st. Czarna Wieś, jako prawowita własność Nadleśnictwa. Dowiadujemy się jednak, że p. Dyrektor Kolei Państw. w Wilnie czyni starania u władz leśnych, by łeb zwierzęcia został odstąpiony Kolejom Państwowym w Wilnie — w celu wypchania i umieszczenia na dworcu wileńskim z odpowiednią tabliczką — jako pamiątka rzadkiego wypadku zarówno w dziejach kolejnictwa, jak i łowiectwa.

M. K. P.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—) W końcu sierpnia przytrzymano i rozbrojono kłusowników, oddając ich w ręce policji: 18-letniego pastucha Stanisława Pietrasa z Bukowiny, który uzbrojony był w karabin; uprawiającego stale kłusownictwo H. Antoniego z Bobrownik (pow. Tarnogóra) — tego ostatniego zatrzymał strażnik graniczny.

(—zet—) W Przemyślu zatrzymano w dniu 9 września b. r. Władysława Koplona, Antoniego Bończana i Franciszka Konyskę, pochodzących z Rokietnicy, pow. Jarosław, w chwili, gdy zamierzali sprzedać zdobytego drogą kłusownictwa rogacza.

W czasie badania policja ustaliła, że są to kłusownicy - procederzyści. Wszystkich trzech pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

(—zet—) 30 sierpnia b. r. Sąd Okręgowy w Częstochowie, na sesji wydziału karno - administracyjnego skazał niejakich braci Kulejów, Wincentego i Stanisława za łowienie kuropatw w sidła, zastawione na polach dóbr Lipie, na karę po 100 zł. grzywny (z zamianą w razie nieściągalności na 2 tygodnie aresztu) oraz dodatkowo na 2 tygodnie aresztu bezwzględnego.

Niejaki Idzi Trombski za polowanie niedozwolonym sposobem skazany został na 50 zł. grzywny z zamianą w razie nieściągalności na tydzień aresztu.

(—zet—) W lasach państwowych w Łanczynie, powiatu Nadwórna, gajowy Filip Machnik został napadnięty przez kłusownika Grabowieckiego, który począł go dusić.

Napadnięty gajowy w obronie własnej zmuszony był do użycia broni, wskutek czego kłusownik został zabity.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu J. K. i innym zainteresowanym.

W sprawie poruszonej przez W. Pana listem z dnia 29 ub. m., pozwalamy sobie odesłać Go do treści artykułu 17 prawa łowieckiego, z którego wynika, że zasadniczo obwód łowiecki nie potrzebuje być ponownie rejestrowany po latach sześciu od chwili pierwotnego powstania.

Jeśli jednak rejestrację uskuteczniono tylko na lat sześć, co było zastrzeżone zgóry przy pierwszej rejestracji, to, oczywiście, należy go po upływie tego czasu rejestrować ponownie.

Z tego jedynie względu trzebaby było ponownie tworzyć uchwałę zawiązywania spółki łowieckiej, t. j. jeśli pierwotnie spółka była tworzona na określoną ilość lat.

Sześcioletni okres dzierżawy obwodu jest ustawowo minimalnym, lecz można ją zawierać także na dowolnie dłuższy przeciąg czasu. Wówczas tylko nastąpi po latach sześciu wybór nowego zarządu spółki.

TREŚĆ NUMERU.

Znaczny napływ nowych prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO" spowodował wyczerpanie Nr. 1 do 9 włącznie.

Zwracamy się z uprzejmą prośbą do PP. Prenumeratorów, którzy nie kompletują roczników o łaskawe przesyłanie nam wyżej wymienionych numerów „Łowca Polskiego" na koszt Administracji.

KOMISJA PROPAGANDOWA P. Z. S. Ł.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 666-15

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. P. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15